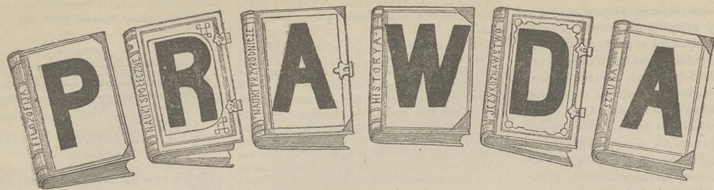
Nr. 46. Warszawa, dnia 2 (14) Listopada 1896 r. Rok XVI.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

U LORDA MAYORA.

Dnia 7 b. m. nowy lord mayor Londynu uroczyście wstąpił na swą stolicę, a w dwa dni później podejmował na wspaniałym bankiecie ministrów, dostojników arystokracyi, wielkości rodowe i sterlingowe, ludzi herbów i ludzi pracy — wszystko co mógł najwybitniejszego znaleźć w swym grodzie, w tym dniu pamiętnym. Powtarza się to co rok, i stanowi coroczną uciechę narodową. Ustalił się jeszcze w XVIII w. zwyczaj zapraszania doradzców korony, a w XIX-m od zwyczaju przyjmowania zaproszeń żaden minister angielski się nie uchylił, chyba w wyjątkowym wypadku rzeczywistego niezdrowia, koniecznego wyjazdu lub nieobecności. Pierwszy minister jest też pierwszą na bankiecie osobą: otwiera zawsze usta, a z ust wylatuje jakieś słowo. Za Disraelego niosło ono w sobie nieraz cały programat polityczny; za Gladstone'a otwierało zawsze jakiś rozległy widnokrąg, swoistą siłą tego wyższego, syntetycznego umysłu. Za Salisbury'ego usłyszała Anglia, choćby tylko w roku zeszłym, — energiczne wezwanie do sułtana, aby się opamiętał i poprawił.

W tym roku margrabia w inny zupełnie ton uderzył, a różnica między tem, co mówił dawniej, a tem, co powiedział teraz, odpowiada zmianie i w polityce i w położeniu międzynarodowem Anglii, zaszłej od ostatniego bankietu. Gdy się spokojnie rozważy i słowa i czyny dyplomacyi angielskiej i pierwszego jej sternika, niepodobna jest nie dostrzedz znamiennego faktu. Dawniej słowa prześcigały daleko czyny swym rozmachem i objętością; dziś rumaki chodzą w zaprzęgu i ciągną wozy kamieniami ładowne. Dawniej czyny nie odpowiadały słowom: dziś to, co się mówi, lepiej jest przystosowane do tego, co sie robi. Zapanowała jakaś skromność i rzetelność. Nikt nie oskarży teraz margrabiego o górnolotność i przesadę. Owszem, jest on cichym, aż nadto cichym. Przyznaje się jawnie szczerze do niemocy. Iść będzie razem z wszystkimi. Nie wątpi, że gdyby pięć mocarstw powzięło jakieś postanowienie silne, nieodwołalne, Turcya uległaby przed takim głosem Europy. Anglia idzie w zgodzie z innemi mocarstwami. Koncert będzie zawsze najlepszym środkiem do działania; odosobnienie zaś, z myślą o działaniu, wytwarza tylko niebezpieczeństwa.

Tych niebezpieczeństw Anglia nie chce, ani dla siebie, ani dla Europy. Nie chce, bo zakląwszy je, nie zdołałaby zażegnać. Któż to bowiem nie wie, że jej zbrojność rozwija się w kierunku mórz, a nie lądów, — że potęga jej fizyczna, materyalna jest morską, a kwestya wschodnia potrzebuje właśnie mocy, siły, potęgi lądowej? Dlatego, nie chcąc się odosabniać bez celu, woli Anglia iść krok w krok z celem, a tym jest i dla każdego być powinno, utrzymanie pokoju. Przyłączywszy się tedy margrabia do koncertu, przyłącza się i do p Hanotaux, pisze się prawie na to wszystko, co francuski minister spraw zagr. powiedział d. 3 b. m. o sprawie wschodniej i Ormianach: wspólność, wspólny nacisk, wspólny skutek — i wspólne zadowolenie. Rok temu groził margrabia upadkiem Turcyi, tj. jej rozbiorem; dziś oświadcza, że tylko przez sułtana można dla chrześcian wogóle, dla Ormian w szczególe, osiągnąć upragnioną korzyść: ustępstwa konieczne do utrzymania spokoju.

Dobra wola Anglii do utrzymania się w koncercie jest tak silną, że rozbudza w niej apetyty trwalsze, już nie w konkretnej sprawie wschodniej, ale w całem jej wirowaniu politycznem. Nigdy nie był margrabia przeciwnikiem trójprzymierza, jako żywo! Owszem, Anglia stale sprzyjała trójprzymierzu, a jak zawsze starała się o dobre pożycie ze wszystkiemi, tak, obecnie zwłaszcza, w doskonałej ze rządami wielkich mocarstw zostaje harmonii. Całusy na wszystkie strony! Nawet okrzyczana sprzeczność interesów, przeciwstawność polityki angielskiej z rosyjską — jest tylko legendą. Zrobił ją Bismarck, prawiąc o jakichś zasadniczych przeciwieństwach, których nie zna ani samowiedza margrabiego, ani rzeczywistość stosunków i wypadków. Nie, nie ma w tem słowa prawdy. Margrabia nie wie o żadnych sprzecznościach, przeciwieństwach i nieprzyjaźniach—o niczem zgoła; a wie przeciwnie, i silnie jest o tem przekonany, że zamiary i cele Anglii są takie same, jak zamiary i cele wielkiego Cesarstwa Rosyjskiego.

Dzienniki rosyjskie mają łatwe zadanie, jeśli zechcą pokazać margrabiemu, że niewinny baranek niedawno jeszcze miał wilcze przeciwko Rosyi pazury. Dziennikarstwo europejskie już zaczęło się radować mową tak wymownie pokojową, takie miłe widnokręgi zgody i ciszy otwierającą — na długie, jak mniema, lata. Krytyka, nie poruszana sprężynami inte-

resów, nie mająca nic do porwania dla siebie i nic do ukrycia przed innymi — stwierdzić musi kapitulacyę Anglii dotychczasowej, dawniejszej, przyznanie się jej do niemocy nietylko militarnej na lądzie, ale i dyplomatycznej w polityce międzynarodowej. Niezdolną jest Anglia do przymierzy, a ta niezdolność jej, nie zaś brak silnej armii lądowej, stanowi rzeczywistą jej międzynarodową niemoc. Cała mowa margrabiowska jest tylko publiczną z tej niemocy spowiedzią. Ale prócz przeświadczenia o niej mogły być i inne, dotykalniejsze, bardziej uzewnętrznione, głębiej tkwiące polityczne pobudki do takiego rozpoczęcia nowej ery w dziejach polityki wszechświatowej. Rozsądek pozwala domyślać się pierwszego ataku rosyjsko-francuskiego o Egipt, o Cypr. Stąd potulność, stąd ta słodycz, te uściski i potępienie wszelkiej „akcyi“ odosobnionej. Wielki Albion!

Tydzień polityczny. Ze spraw wschodnich najważniejszym wypadkiem jest błysk radości na twarzy sułtana, wywołany mową margrabiego Salisburego na bankiecie nowego lorda-mayora Londynu, d. 9 b. m. Margrabia potwierdził wogóle to, co Francya i Europa usłyszała była d. 3 b. m. z ust p. Hanotaux w Izbie deputowanych, [illegible] wołał się na swego kolegę w twardem rzemiośle dyplomatycznem. Albion nie chce być odyńcem; idzie w gromadzie i iść będzie dalej. Dobrze robić Ormianom można tylko przez sułtana. Bismarck tylko wymyślił jakąś zasadniczą przeciwstawność Anglii i Rosyi; o ile margrabiemu wiadomo, cele obu państw są jedne, wspólne, tożsame. Nie ma zatem powodu do obaw, a nawet jest stały powód radości—pokój.

Sułtan ściąga swoją pożyczkę wewnętrzną — od muzułmanów. Dyplomacya nie ma już obawy o jej użycie przeciw chrześcianom.

Interpelacyę dawniejszą w Izbie francuskiej podnieśli monarchiści katolicy: De Mun, D'Hulst, Cochyn. P. Hanotaux wyłożył im dzieje sprawy ormiańskiej, przypomniał, że mocarstwa nie przestają dawać sułtanowi rad zdrowych a odpierać złych, że wszystkie, wraz z Anglią, trzymają się w koncercie i dalej wygrywać go będą. Francya wykazała niebezpieczeństwa w samym zarządzie państwowym Turcyi. Położenie, prawda, ciężkie, ale gdzie jest zgoda, nie trzeba tracić nadziei. Ultra-radykalny Jaurès radykalnie przesiał ten wykład i zsypał na kupę same plewy. Monarchiści domagają się akcyi odosobnionej; Jaurès na akcyę zbiorową zwalił odpowiedzialność za te właśnie nadzieje, jakie mieć każe minister.

Mc Kinley, niewątpliwy już prezydent Związku na czterolecie od 4 marca 1897 r., ogromną przewagę przeszło stu głosów (277 i 170) nad Bryanem zawdzięcza dźwięczącemu dolarowi złotemu (*sound dollar*). Demokraci ze Stanów środkowych poszli przed ołtarz tego bożka, spalili ofiarę i rozstrzygnęli o zwycięztwie. Handel rządzi polityką: lepiej to, niż gdyby rządziła nienawiść ku Północy i chęć rozerwania jedności związkowej, jak bywało przy dawniejszych wyborach po wielkiej wojnie; ale na sztandarze demokracyi znajduje się przecież i wygładzenie łapownictwa i zdzierstwa, znajduje się także urządzenie administracyi, żeby władza stronnictw zwycięzkich nie potrzebowała żyć i podtrzymywać się nieprawością, wtłaczaną w obyczaj narodowy. O tych hasłach przecież, z któremi Grover Cleveland wchodził do Białego Domu, zapomniano; nie słyszano ich, bo je czysty, dziewiczy dolar zagłuszył.

Odbyły się teraz w Stanach Zjedn. wybory i do Izb kongresu. Izba reprezentantów będzie miała około 220 republ., 100 demokratów i 3 populistów, ludowców: Senat 48 republ. i 42 demokr. i popul.

Odkrycia bismarkowskie surowo potępiła gazeta urzędowa jego przyjaciela, jak go nazwał b. kanclerz, w. ks. Weimarskiego. Nieprzyjaciele znów widzą nieczyste ręce i odgrzebują sprawę z Rudolfem Meyerem — dziecińswa! Sejm cesarstwa zebrał się d. 11 b. m. Wolnomyślni chcą interpelować o zwierzenia, o Wschód, o kodeks wojskowy, o zarąbanie człowieka przez oficera w Karlsruhe itd. W sejmie niemieckim prawo interpelacyi jest prawem odmawiania odpowiedzi.

W Austryi Niższej sejm nowowybrany zamiast większości liberalnej ma antisemicką. Grzyb toczy mózgi coraz dalej. Lueger zasiądzie jeszcze w panteonie ludzkości.

Książę Ludwik Filip Robert Orleański d. 5 b. m. ożenił się z arcyksiężniczką austryacką Maryą Dorotą, bliską krewną cesarza. Jest to ów pretendent do tronu francuskiego, przed którym rzeczpospolita zamknęła swe progi i bogi.

Nowy sejm węgierski składa się z 282 rządowców liberalnych, 37 zwolenników liberalizmu, narodowców Aponyi'ego, 48 kossutowców (demokratów radykalnych), 7 ugrończyków (demokratów katolickich), 20 z nowej partyi katolickiej ludowej. Dziesięciu posłów postanowiło żyć w stanie dzikości. W siedmiu okręgach odbywają się wybory ściślejsze.

W Belgii przesilenie ministeryalne.

Za szacherki z dynamitem w *ad hoc* założonem towarzystwie sąd wersalski skazał Artona na 8 lat robót ciężkich. Skazany dopomina się wznowienia sprawy panamskiej: żądanie wcale przyzwoite.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KOLEJE PRZED SĄDEM.

„Życia nie można sprzedać — mówi Carlyle — bo nie ma na nie nawet odpowiedniej ceny. Czy nie lepiej oddać je po królewsku?...“ Pracownicy kolejowi często oddają swe życie „po królewsku“: pod kołami parowozów i wagonów lub pod rumowiskami zgruchotanych pociągów. Oddają je bojnie, bez ceny, bo nikt dotąd życia tego nie oszacował, nikt nie znalazł normy, według której można byłoby zrealizować je w sumie, zapewniającej nietylko utrzymanie osieroconym, ale i cudowną własność kojenia bólów moralnych.

Rok bieżący odznaczał się szczególną obfitością wypadków śmierci i kalectwa, wynikających z oszczędności i lekceważenia. Przybyło sporo rodzin osieroconych skutkiem utraty życia ich opiekunów — na służbie; sporo inwalidów z rękami i nogami poobcinanemi, żebrami połamanemi, dużo ślepców, którzy wzrok swój stracili na maszynie. Parę znamiennych faktów zaznaczyliśmy w ciągu lata, a z tych na szczególną uwagę zasługiwała śmierć maszynisty Kalinowskiego, który podczas ruchu parowozu musiał regulować szybry pod kotłem (na kolei Dąbrowskiej).

W ostatnich czasach poszkodowani, tj. niezdolni do pracy skutkiem kalectwa lub wyczerpania sił na usługach przedsiębiorstw kolejowych, nie mogąc znaleźć chociaż częściowego złagodzenia swych

---

G. DANIŁOWSKI.

NA SPACERZE.

— Chcesz koniecznie — rzekł do mnie mój przyjaciel Stach, z którym siedziałem na balkonie restauracyi — abym ci opowiedział coś z mojej burzliwej przeszłości? A ja ci mówię, że mylisz się bardzo; te trzy lata włóczęgi po górach Kaukazu, po stepach obu półkul świata i falach oceanu zaliczam do spokojnych, bo ciszę miałem w sercu, choć nieraz nad głową hujał wicher i orły, a pod nogami leżał wir, odmęty i tłum bałwanów. Przypuszczasz, że pewnie nieraz śmierć zaglądała mi w oczy — i tego nie było. Ja sam jej w ślepie parę razy spojrzałem — a to wielka różnica. W takiej sytuacyi, choć z tobą krucho, nie zaznasz strachu i rozpaczy, odczuwasz tylko niepojętą, dziwnie pociągającą rozkosz. Przejść tuż koło niej, otrzeć się prawie o tę wieczną zagadkę, a przytem oddalić się spokojnie — to trochę przyjemniejsze wzruszenie, niż te wasze wyścigi, ba, nawet totalizator. Sądzisz, że skorzystałem z podróży wiele? Tu masz racyę. Rozpacz po stracie tej, którą mi w kilka miesięcy po ślubie tyfus porwał, zmieniła się na cichy smutek, bladą tęsknotę; wiele też wrażeń, wiele przedziwnych, majaczących niemal obrazów utkwiło w moim mózgu. Choć, zdaje się, że nie to miałeś na myśli, że chodzi ci o korzyści, jeśli nie ściśle naukowo, to — że tak powiem — umysłowo, o poznanie obyczajów, charakterów ludzi i miejscowości widzianych. Mój drogi, to wszystko daleko ściślej i dokładniej wyrażone znajdziesz w pierwszej lepszej geografii. Ażeby zbadać coś, a bodaj poznać jako tako, trzeba na jednem miejscu grzybem przesiedzieć, a nie, jak ja, tłuc się po wszystkich kątach. Ja mam tylko tę korzyść i wyższość nad każdym z was, który może dokładniej ode mnie wystudyował z książek i map obce kraje, że widziałem, że dotknąłem palcami niemal tego, co wam się tylko przedstawiać może jako abstrakcya, bardzo nawet mglista, choć z mocną pewnością o jej istnieniu twierdzicie.

Tak, mój stary! (nazywał mnie zawsze starym, choć obaj nie przekroczyliśmy trzydziestki) człowiek, nawet najbardziej wykształcony i rozumiejący wyższość myśli nad zmysłami, silniej odczuwa i wierzy w to, co mu zmysły podają, niż w to, co mu myśl głosi—choćby najlogiczniejsza i w niewątpliwe dowody zbrojna. Powiem ci nawet więcej: dla większości ludzi nie ma tego, co wy nazywacie niezbitą, nieprzepartą logiką dowodzeń lub faktów. Najprostsze i najściślejsze dowodzenie jest niczem wobec tego, co się da dotknąć, powąchać lub zobaczyć. Niezbitość może dla nich istnieje w tem znaczeniu, że zbić twych dowodów nietylko nie potrafią, nawet próbować nie będą, bo szczerze się z niemi zgodzą, ale je zawsze *przepra*. Powiedzą: „tak,“ „zapewne,“ nawet „napewno tak“ — a pójdą swoją drogą i będą robili swoje... Gdyby tylko swoje — pomniki bym im stawiał — ale cudze, to jest to, co im ich niewolnictwo nakazuje... Bo nie myśl, że niewolnictwo istnieje tylko na Madagaskarze i w innych miejscowościach czarnego lądu; istnieje ono wszędzie, na całym świecie, a najwięcej tu u nas w Europie — tylko daleko wstrętniejsze, bo dobrowolne i jawne.

Uśmiechasz się — a wiesz dlaczego? Bo nie widzisz pęt, nie słyszysz brzęku kajdan — nie możesz więc powiedzieć całą istotą swą: „tak,“ choć umysł twój możeby to pojął i nie mógł moim dowodzeniom zaprzeczyć. I właśnie dlatego niczego ci dowodzić nie będę. Płać za kawę i chodźmy, a ja ci za to pokażę niewolników.

Zapłaciłem. Wyszliśmy.

Stach, nasadziwszy trochę na bakier swój filcowy kapelusz, mówił dalej:

— To, że my wszyscy chodzimy w jarzmach, własną dłonią ukutych, przychodziło mi nieraz do głowy; pojawiało się jak konsekwentny wynik mego myślenia, ale myślenia tylko; reszta istoty milczała, choć protestował mój mózg — jak zwykle w takich razach — bezowocnie. Dopiero w mojej włóczędze, gdym widział jarzma

krzywd na drodze dobrowolnej ugody z instytucyami zarobkodawczemi, zaczęli szukać sprawiedliwości przed sądem. W tych dniach aż dwie takie znamienne sprawy rozstrzygnięto na ich korzyść, w dwu instancyach. Mianowicie p. P. Hryniewieckiemu, maszyniście kolei Nadwiślańskiej, przyznano 10,000 rs. jednorazowego wynagrodzenia za wzrok utracony na służbie skutkiem tego, że musiał rocznie „wyjeździć" przeszło 30,000 wiorst, że nie miał dostatecznego wypoczynku, że wzywany był na służbę częściej, niż inni koledzy, dlatego, że mieszkał w pobliżu kolei; wreszcie że jako doświadczonemu i długoletniemu pracownikowi, dawano nieraz do rozporządzenia za dużo wagonów i kazano jeździć po liniach trudniejszych, tj. wymagających wielkiego natężenia uwagi i wzroku.

Drugą podobną sprawę wytoczył konduktor tejże kolei, Romuald Dąbkowski, któremu sąd przyznał 4,000 rs. jednorazowego wynagrodzenia wraz z kosztami procesu, za kalectwo, poniesione na służbie. Poszkodowany dowiódł, że dyżurując na stacyi Lublin, musiał skutkiem braku robotników pomagać przy ustawianiu wagonów na linii zwrotnicowej, a podczas tej roboty przyciśnięty przez wagon, uległ nadwyrężeniu klatki piersiowej, co następnie wywołało rozszerzenie serca, ogólny rozstrój systemu nerwowego i cząstkowe uszkodzenie płuc. Wszystko to uczyniło go niezdolnym do pracy.

W sprawach tych i motywach uderza kilka szczegółów charakterystycznych. Obaj poszkodowani stracili zdolność do pracy skutkiem wyzysku i oszczędności kolei — na ludziach. W pierwszym wypadku posługiwano się jednym maszynistą częściej, niż innymi, dlatego, że był doświadczeńszy i wytrwalszy, że zatem dawał większą rękojmię „oszczędności." W drugim — konduktor pomimo uciążliwej swojej służby, musiał jeszcze spełniać obowiązki robotników, których było mało do robót najpilniejszych. Zasługuje przytem na uwagę opinia „biegłych." Dowodzą oni, że Dąbkowski „nie jest pozbawiony możności zajmowania się inną, lżejszą pracą," że więc z tego względu należy mu przyznać mniejszą sumę, niż żądał. Jest to pyszna logika, którą zwykle bronią się zarobkodawcy w takich wypadkach. Konduktor z sercem chorem, płucami i nerwami rozstrojonymi, może się zająć inną, „lżejszą" pracą, do której nie jest przysposobiony i wobec dzisiejszych warunków bytu może nie znajdzie jej przez całe życie, zwłaszcza że ze względu na zdrowie ma bardzo ograniczone pole.

Sam przebieg spraw powyższych dał jeszcze jeden znamienny fakt: Sądy z całą bezstronnością biorą w opiekę pokrzywdzonych. Może z tej strony nacisk wpłynie, choć trochę, na zmianę systemów gospodarki kolejowej, dotyczących pracowników; bo przecież ani dla zarządów, ani dla tych, którzy swoje siły i zdolności na usługi im oddają, taki sposób załatwiania rachunków nie jest korzystnym i wygodnym.

Kolej normując liczbę pracowników w dziale „ruchu" np. o 200 mniej, niż trzeba dla zrównoważenia pracy ogółu i zapewnienia bezpieczeństwa, wyobraża sobie, że zaoszczędzi na tem przypuśćmy 120,000 rs. rocznie. Tymczasem już tylko rozbicie kilkunastu wagonów i kilku parowozów, tudzież uszkodzenie toru, daje co rok sumę strat, przewyższającą trzy lub cztery razy wydatek na płace dla owych 200 pracowników. Kolej Nadwiślańska pod naciskiem sądu tylko dwom poszkodowanym musi jednorazowo zapłacić aż 14,000 rs., a zapewne jeszcze nie na nich kończy się lista rościcieli. Zarząd musi zatem wyrzucić rocznie parę dziesiątków tysięcy dla wynagrodzenia poszwankowanych, jednocześnie traci zdolnych, obeznanych ze służbą ludzi, musi na ich miejsce wziąć nowych. Dzięki tedy niedbalstwu i złej rachubie, zwiększa budżet wydatków. Poszkodowani zaś zyskują tylko pomoc chwilową, bo przecież 10,000, a tembardziej 4,000 rs. nie wystarczy na długoletnie utrzymanie zniedołężniałych i ich rodzin. Jakie zaś ma znaczenie moralne — stawanie instytucyj zarobkodawczych przed sądem, o ile to osłabia zaufanie ogółu do nich, o tem mówić nie będziemy.

Sfery ministeryalne gorliwie się zajęły kwestyą *znacznego* zwiększenia odpowiedzialności fabrykantów za śmierć i kalectwo robotników. Otóż wielce byłoby pożądane zastosowanie tego prawa i do kolei żelaznych. Obecnie bowiem uciekanie się do sądów ma charakter przygodny i dla pokrzywdzonych nie zawsze pewny lub dający całkowite zabezpieczenie bytu. Ujęcie tego stosunku w formę przepisów jasno określających stopień odpowiedzialności kolei i rodzaje wypadków, mogłoby wielce złagodzić złe obecne.

Z GALICYI.

Przez kilka lat walczono w Galicyi o powiększenie posłów z miast — i zdołano wywalczyć. W chwili, kiedy to piszę, odbywa się głosowanie w Krakowie i Lwowie; zanim skończę mój list, może telegram przyniesie nam nazwiska zwycięzców.

Walki przedwyborcze trwały prawie dwa tygodnie. O co walczono, jakich ludzi żądano mieć w sejmie i jacy weszli — postaram się w krótkości zdać z tego sprawę. Nie będę wyliczał kandydatów bez nadziei zwycięztwa, lecz mówić będę o tych tylko, którzy uzbrojeni w silne poparcie. Zacznę od Krakowa. Tu stańczycy wysunęli dr. Zolla, postępowi—Kazimierza Bartoszewicza, Aug. Sokołowskiego i Weigla, zajmującego niby pośrednie stanowisko. Zwycięztwo stańczyków prawie nie ulega wątpliwości, nie dlatego bynajmniej, ażeby dr. Zoll po za uniwersyte-

---

zupełnie odmienne od naszych, a równie silne i również uważane za naturalne i w tej swej naturalności niepodlegające najmniejszej krytyce, bezwzględne, nietykalne — gdym musiał zmieniać je tak, jak zmieniałem ubranie stosownie do strefy geograficznej, w której się znajdowałem — odczułem w całej pełni fetyszyzm i bezsensowność tych więzów. Wyzwoliłem się, choć je noszę, bo noszę je tak właśnie, jak to moje angielskie ubranie, lub tę laskę trzcinową. O ile mi nie zawadza i nie dolega — to niech tam!.. O ile zaś staje na przeszkodzie nie powiem szczęściu, ale przyjemności, swobodzie ruchu, odrzucam je jak niedopałek cygara.

Patrz na ten tłoczący się tłum nie tyle wesoły, ile spocony! To szereg najrozmaitszego gatunku niewolników. Jakkolwiek bawię dopiero od kilku miesięcy w waszem mieście, znam wielu ze słyszenia, niektórych z widzenia, niektórych osobiście, a zresztą mam oko wprawne, więc i śród nieznajomych z łatwością określę ci rodzaj i ciężar jarzma, w którym każdy z nich chodzi. Zwróć uwagę choćby na te dwie bezkrwiste panienki w jasnych sukienkach, w żółtych pelerynkach i wielkich kapeluszach, przypominających niegustowne żardinjerki — to siostry; obok nich blady młodzieniec w ciasnych butach, czerwonych rękawiczkach — to brat; a ten szpakowaty z przygasłym wzrokiem, przedwcześnie zgarbiony mężczyzna, to ojciec — głowa lub — ściślej mówiąc — łysina całej tej niewolniczej drużyny. Oto pyszne okazy, jęczące w pętach mody i szyku. Znam ich trochę. Czy ty wiesz, ile niedospanych nad pracą nocy, ile niedojedzonych obiadów, ile dni o suchych bułkach i herbacie spędzonych — zakrzepło w tych pelerynkach, kapeluszach, ciasnych butach i krwawych rękawiczkach? Te panienki za cenę zdrowia kupują szyk i elegancyę, wyrzekają się wielu zabaw i przyjemności, gotowe są nawet do wielkich poświęceń i ofiar w imię idei „mody." Niesłusznie więc narzekacie na brak ideałów. Każdy ma ideał, przed którym gnie swój kark, i choć go kości bolą, nie śmie nawet stękać. Rodzina ta i tysiące innych nie sprzeniewierzą się za nic swojej idei. Ten student, naprzeciw nas idący, mimo dzisiejszego upału nie odepnie jednego guzika swego munduru — wierny idei „etykiety." Żaden z tych powozów, kręcących się, jak owce kołowate, w jednem miejscu, nie wyjedzie również za miasto, bo woli modny pył i kurz, niż świeży wiatr, zieleń pól i widok błękitu. Powiesz mi może, że to są więzy nie zbyt ciężkie i nie kosztują zbyt wiele. Dajmy na to. Mogę się z tem zgodzić, gdyż właśnie spostrzegam przykład, którym twój zarzut obalę. Przypatrz się tej oto brunetce siedzącej w powozie. — Warto! Ładna, a nawet jak na hrabiankę wcale inteligentna. Ten opasły, drzemiący obok niej jegomość — to mąż jej, baron Bil. Gdyby rysy twarzy miały być zawsze zwierciadłem duszy, nie powinienby on posiadać rysów żadnych, twarz jego powinnaby być gładka i lśniąca, jak kafel... Jest to ruchomy tłusty trup. Jedyne zmartwienie jego — to pedagra, jedyna pociecha — dobry kucharz i wino. Znałem rywala tego barona — młody, zamożny, zdolny — chciałem powiedzieć człowiek, powiem — kupiec, bo w tem tkwi cały sęk kwestyi—starał się o tę pannę. Wiem dobrze, że mu była wzajemną; wiem także, że była chwila, w której chciała pójść wbrew kodeksowi niewolnictwa swego... Dwie chude ciotki wyrzekły magiczne zaklęcie, wobec którego wróciła do jarzma. Jeżeli nie domyślasz się tego zaklęcia, powiem... albo lepiej dam ci je odczuć, tembardziej, że mi się pić chce.

Zanim zdążyłem zoryentować się, co robi, Stach znalazł się przy studni, ze zręcznością najpoprawniejszego ulicznika zwinął z kapelusza rodzaj rądelka, napompował weń wody i pił powoli, smakując i mrucząc: „Wcale dobra, bo zimna."

Ludzie zaczęli się na nas oglądać ciekawie. Zrobiło mi się głupio.

— Co robisz waryacie! — krzyknąłem.

— Wiem — odrzekł — to się nazywa: „nie wypada" i oto jest magiczne zaklęcie, którem ciotki nie dały jej ugasić pragnienia szczęścia, a ty mnie — wody. Zrobiłem to umyślnie — możesz iść śmiało dalej ze mną; więcej wybryków nie będzie, gdyż nie chcę być niewolnikiem oryginalności... A jednak pamiętasz, jak na prze-

tem reprezentował jakąś siłę poważną, był osobistością popularną i wybitną, lecz dlatego, że za nim staną kahały, urzędnicy państwowi i kolejowi, większość ciała nauczycielskiego i wielcy przedsiębiorcy, dostawcy piwa, dzierżawcy myt, szynków itd. Kahałom, po porozumieniu z rabinem, wydaje się zwykle rozkaz głosowania na tego lub owego kandydata, urzędnikom i nauczycielom — propozycya w formie polecenia, z przedsiębiorcami zaś wchodzi się w układy, a zawisła od nich klientela gotowa jest oddać głos nietylko na dr. Zolla, ale na sułtana tureckiego, bo inaczej nie dostanie na kredyt ani piwa, ani gorzałki.

Wobec takich warunków zwycięztwo prawie pewne, tem bardziej, że są przyczyny inne jeszcze. Kandydaci postępowi, jeżeli można użyć tego zbyt oklepanego wyrazu, nie mają w Krakowie nawet ogniska, z którego skutecznie mogliby prowadzić agitacyę. *Nowa Reforma* od czasu usunięcia się Asnyka i Pawlikowskiego straciła powagę. Powoli odstąpili ją dawni długoletni przyjaciele, a nawet współpracownicy. Wobec tego Sokołowski i Bartoszewicz mogli liczyć tylko na własne imię. Pierwszy ma dużo przyjaciół politycznych śród ludzi wykształconych, czyli — jak się tu mówi — inteligentnych, ale nie ma za sobą kahałów, urzędników, nauczycieli i przedsiębiorców. Słusznie on podniósł, że hasła dawnej demokracyi przeżyły się, a zbyt zmienione stosunki teraźniejsze wymagają od przedstawicieli nietylko innych haseł, lecz innych podstaw do pracy. Myśl tę wyłożył i uzasadnił w swojej mowie programowej. Trafiła ona bardzo wielu do przekonania, szczególnie teraz, po świeżych dowodach zastraszających postępów patryotyzmu austryackiego. Mówią tu u nas dużo o opozycyi i krytyce, jedna i druga są wszakże zaledwie w zarodku. Drażliwość na tym punkcie chorobliwa; w sejmie i parlamencie odzywają się w tym kierunku zaledwie pojedyncze głosy, a reszta — to gromada ludzi, zadowolonych z siebie i ze wszystkiego, reprezentujących tylko oportunizm.

Niech przeto idzie Zoll do sejmu. Bo i kogoż wybrać? Tarnowski Stanisław (z tych wielkich) już jest, Dunajewski — jest, Smolka — jest.

We Lwowie zarówno agitacya przedwyborcza, jak i wybory są prowadzone w żywszem tempie Lwów uchodzi za miasto demokratyczne może z tej racyi, że tu częściej się biją i lepiej sobie wymyślają. To też kandydaci lwowscy są zawsze demokratami. Tu po raz pierwszy rozklasyfikowano demokracyę: na szlachecką, ludową i mieszczańską. Maluczko, a będziemy mieli arystokracyę — demokratyczną. Nie dość tego, demokracya tutejsza posiada jeszcze odcienie etyczne: szczera, nieszczera, prawdziwa. Wszystkie te epitety, tytuły, odcienie wyciągane są z arsenału przy lada sposobności, a przy wyborach sprawiają bezustanny zgrzyt od początku do końca.

Nie będę nudził czytelnika opisywaniem i charakteryzacyą komitetów wyborczych. Wyborcy rozpadli się na dwa wielkie stronnictwa — naturalnie demokratyczne; jedno bardziej umiarkowane pozwoliło wygadać się Balasitzowi, profesorowi uniwersytetu, z wielką wytrwałością dążącemu do sejmu lub parlamentu, Ciesielskiemu, Czyżewiczowi, Małachowskiemu, Ciuchcińskiemu i wielu innym. Drugi obóz, zbliżony do stronnictwa ludowego, postawił kandydaturę Soleskiego, byłego dyrektora szkoły przemysłowej miejskiej i Henryka Rewakowicza, dziennikarza i współpracownika *Kuryera lwowskiego*.

Kto ma szanse zwycięztwa? Z pośród rozmaitych kandydatów, popisujących się wymową, najgruntowniejszą była mowa Soleskiego; spokojną, dobrą i jasną — dr. Czyżewicza; prostą, rubaszną, ale pełną uczciwości obywatelskiej — Rewakowicza; dr. Małachowski ma bardzo imponującą postawę i jest prezydentem miasta — są to zbyt poważne tytuły do reprezentacyi, ażeby jeszcze na mowę zwracać uwagę.

Soleski wyszedł z tego słusznego założenia, że kwestya szkolna musi być w sejmie broniona poważnie, że dotychczas na ławach poselskich nie ma ona fachowego przedstawicielstwa, pomimo że jest jedną z najważniejszych. Niektóre braki szkół tutejszych podniosłem w poprzednim liście z tego samego stanowiska. Krytykuje on bardzo ostro Radę szkolną za zbyt gwałtowne, a jednak nieprowadzące do celu reformy, zarówno co do planu nauk, jak i podręczników. Plan zmieniono ledwie nie w jednym roku, pomimo że brak było podręczników, a te, które z pośpiechem opracowywano, trzeba było z większym jeszcze pośpiechem przerobić. Stąd też ledwie nie co rok dziatwa musiała kupować nowe książki. Nie potrzeba chyba dowodzić, jak to wszystko utrudnia dostęp do szkół, jeżeli zważymy podniesienie czesnego do 40 złr. rocznie i mundury. Przymus szkolny istniał tylko dla włościan, Rada szkolna wolną była od niego. Mówiąc inaczej, dzieci w wieku szkolnym albo wcale nie miały gdzie uczęszczać na naukę, albo tłoczyły się w ciasnej sali, albo były szkoły i bez nauczyciela. Nauczyciel jest płatny dotychczas, jak dozorca gospodarski. Z tej też racyi 2,000 szkół nie posiada nauczycieli.

Drugiem żądaniem, którego ma bronić Solecki, jest potrzeba połączenia obszaru dworskiego z gminą wiejską. Wreszcie obiecywał stanąć po stronie ruchu ludowego i przyrzekał pogodzić rozdrażnione obozy pokrewne.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że Solecki byłby posłem odważnym, prawym i nieliczącym się z grzecznością i ukłonami prawicy. Takie stanowisko zająłby i H. Rewakowicz — ale rzecz bardzo wątpliwa, czy agitacya przez urzędy, szkoły, piwiarnie i szynkownie prowadzona, dopuści ich do pożytecznej pracy.

Nie myślę bynajmniej streszczać mów innych kandydatów, gdyż są one oklepane i puste. Chwilkę tylko zatrzymam uwagę czytelnika na mowie i osobie Ciuchcińskiego.

Gdyby ktoś szukał argumentu na poparcie tezy o bezużyteczności dzisiejszego systemu wyborczego w społeczeństwie niedostatecznie wykształconem, niedojrzałem politycznie i nieuświadomionem, w kandydaturze p. Ciuchcińskiego, mającej wszelkie szanse powodzenia, znalazłby doskonałą ilustracyę. Jest on z zawodu blacharzem. Możnaby z tego wnioskować, jacy my jesteśmy szczęśliwi, jacy postępowi, jak szeroko i sprawiedliwie korzystamy z praw naszych, kiedy, mając sposobność wybierania w licznej gromadzie galicyjskich hrabiów, baronów i dygnitarzy, wysuwamy na czoło mieszczanina. Musi on być przecie lepszy od wielu innych, rozumniejszy, musi być dużo do niego zaufanie publiczne, że położenie kraju

---

chadzkach pijaliśmy tak nieraz i byliśmy zdrowi — dobre to były czasy!.. Dziś... cóż dziś? — uśmiechnął się drwiąco — zestarzałem się widać, zgłupiałem, bo zrozumieć nie mogę, dlaczego naprzykład jest przyzwoiciej upić się wobec setek osób na „patelni," niż napić się wody ze studni, choćby nawet kapeluszem? Dlaczego to wypada, a tamto nie wypada? Również nie rozumiem, dlaczego ludzie tak łagodnemi słowami ochrzcili to, co skuło ich w pęta, co rządzi niemi, co zastępuje tysiącom obowiązek, moralność, przekonania, co jest stokroć silniejsze od przekonań, bo te są od wygłaszania tylko, stanowią upiększające bandery, a tamto jest wiosłem i sterem. „Wypada" i „niewypada" — to „być" i „nie być" Hamleta. Ulegają temu wszyscy, ulegasz i ty! Tak, boś ty także niewolnik — może tylko nieco krnąbrniejszy, może byś nie zawsze zaklęcia posłuchał; są jednak jarzma, dla których byś wiele poświęcił. Naprzykład, nazwałeś mnie wobec tłumów waryatem. Przypuść na chwilę, że rzeczywiście cierpię umysłowo, że jestem do pewnego stopnia idyotą. Zdaje mi się więc, żeś mi ubliżył, żeś mi w ten sposób ukradł kawałek czci, którą muszę zastąpić kawałkiem ołowiu. Proponuję ci pojedynek. Zgadzasz się oczywiście. Przyjaciele nasi naradzają się i stąpają po ulicach wyprostowani i dumni. Znajomy nasz restaurator zaciera ręce i mrozi szampana. Ty, trochę niespokojny, łudzisz się, że jesteś tylko niewolnikiem honoru i pocieszasz się tem, że to szlachetniejszy gatunek niewoli. Mylisz się, stary: wyobraź sobie, że jesteśmy na bezludnej wyspie, że ci tam dla mniej błahych powodów robię taką propozycyę. Parsknąłbyś mi w oczy, a wiesz dlaczego? Bo tam nie byłoby tego, co leży u szczytu piramidy naszej niewoli, nie byłoby głosu opinii publicznej. O to jest pan, który rządzi światem, przed którym bijecie czołem nawet wy wolnomyślni, bo różnicie się od bezmyślnego tłumu tylko tem, że *wolno* myślicie. A jednak, robiąc tak, jesteście gorsi od czarnych. Ci również ulegają swoim panom i żywią dla nich służalczą cześć; ale ich władcy, a widziałem ich dość, imponują rzeczywiście: silni, odważni, od dziecka nawykli do rozkazywania, nieugięci — mogą widokiem swym i zachowaniem wzbudzić uczucie lęku i szacunku. Opinia zaś publiczna nie ma nic z władcy, ma za to wiele z psa. Psim swędem się rządzi; psim również instynktem wiedziona wie, kto się jej boi, i na tych nieśmiałych przeważnie się rzuca. Spróbuj uciekać — chwyci cię za piętę. Upadnij, skoczy ci do gardła. Odwróć się i śmiało spójrz jej w oczy, a lepiej uderz kijem — podkuli ogon, schowa się w kąt, a później stopy ci lizać będzie. Są wprawdzie różnice. Pies naprzykład przeczuje w kieszeni kiełbasę, a ona rubla. Jakkolwiek to instynkt niezwykły, trudno ją za niego tak niewolniczo czcić, jak wy robicie. Gdy widzę to wszystko, przychodzi mi nieraz na myśl, że ludzie chyba mają wszczepioną w duszę żądzę niewoli, a cała ta wolność, do której niby tęsknią, ogranicza się na tem, aby wolno im było pieścić ułudną marę, że nominalnie mogliby odrzucić te pęta, które faktycznie nieprzeparcie ich wiążą. Nieliczne wyjątki to zabłąkane dusze z jakiejś innej ziemi: zjawiają się one na chwilę, głoszą wolność, nie wiedząc o tem, że mnożą niewolę. Bo siła i żywotność ich poglądu, płynąca z tego, iż zawsze są sobą, odurzy i innych — każe ich własnym wyznawcom wyrzec się siebie, wtłoczyć swą duszę w formę przez nich i dla nich stworzoną, poddać się ich jarzmu. Z jednych łańcuchów wejść w nowe. Widywałem przecież ludzi dość niezwykłych, spotykałem artystów, którzy mieli coś z wolności wichrów stepowych; wyzwalali się oni z pod wielu jarzm, gardzili nawet głosem opinii publicznej, jednak bez pęt żyć nie mogli. Zaciągali się więc pod sztandary mistrzów; tworzyli szkoły, nie wiedząc o tem, że im więcej zbliżają się w naśladownictwie do swego mistrza, tem dalej odbiegają od treści ducha jego, bo wyrzekają się siebie. Widać to strasznie trudno być sobą. A może nawet dla większości to niemożebne, bo nie mają nic własnego; istnienie więc samoistne byłoby dla nich niebytem.

(D. c. n.).



i jego potrzeby rozumie i bronić ich potrafi, zasługi jego i prace muszą być szeroko znane i cenione.

Na te wszystkie domysły kandydat sam odpowiada w swojej mowie programowej. Naprzód co do działalności publicznej. Powiada, że od lat dwudziestu kilku prowadzi uczciwie swoje rzemiosło; od lat 15-tu jest przełożonym czterech połączonych korporacyj, od lat 14-tu radnym miejskim, od lat trzech członkiem Izby handlowej, a w dodatku do tych wszystkich zaszczytów piastuje godność przewodniczącego stowarzyszenia mieszczan im. błog. Jana z Dukli. Są to zasługi publiczne niezaprzeczone i wielkie. Po kilku ogólnikach na temat pracy w sejmie, dotyczących zniesienia podatków, bezpłatnej nauki, spraw przemysłowych, rozbieranych gruntownie przez innych posłów, o czem wszakże p. Ciuchciński zaledwie elementarne posiadał pojęcie, wyskoczył on, jak Filip z Konopi, z programem stronnictwa mieszczańskiego. Jedną przynajmniej miał myśl oryginalną i własną. Czegoś podobnego jeszcze nie było. Stronnictwa grupowały się dotychczas zwykle koło idei, p. C. obiecuje zgrupować je koło rzemiosła.

Zebrani amatorowie mów programowych przyjęli spowiedź polityczną p. C. bardzo wesoło, traktując ją z pobłażliwością, jaka się należy przewodniczącemu czterech połączonych korporacyj i prezesowi stowarzyszenia mieszczan im. błog. Jana z Dukli. Temu kandydatowi osobliwego rodzaju zrobioną była tylko jedna interpelacya, która wyszła od p. Przybylskiego — nie od b. dyrektora teatru lwowskiego, ale od rzeźnika. Zapytał on: czy kandydat ujmie się w sejmie za masarzami, którzy są pokrzywdzeni nietylko przez to, że wojskowość zakupuje dla siebie słoninę tamiej na Węgrzech, zamiast drogo u p. Przybylskiego, ale także i dlatego, że jeszcze nie mają w sejmie własnego przedstawiciela, któryby ich interesów bronił. P. Ciuchciński odpowiedział, że wszystkie *podobne* sprawy znajdą w nim jak najgorliwszego obrońcę *).

Czy to nie szopka?

Przypatrzywszy się zblizka całej pracy sejmu. Nasłuchawszy się różnych mów programowych i fachowych, poznawszy wielu ludzi, reprezentujących niby „kraj,“ przychodzę do przekonania, że podział sejmu na prawicę, lewicę i centrum ma tylko znaczenie, że tak powiem, realne, tj. względne do trybuny marszałka. Z wyjątkiem niewielkiej grupy posłów włościańskich, która oby urosła jak najprędzej w najliczniejszą, resztę podzielić można bez przesady na dwa stronnictwa: gadające i milczące. Demokratyczna lewica tyle warta, co stańczykowska prawica; po za sejmem, jeżeli się nadarzy dobra sposobność, bywa bardzo radykalną i odważną, w sejmie — płowieje, przy każdej akcyi jest połowiczną i niejasną. Jeżeli zabiera głos w sprawach publicznych, to tak się zbliża do stańczyków, że sam p. Tarnowski musi dobrze wsłuchiwać się, ażeby swoich od demokratów rozpoznać. „Milczące“ stronnictwo w sejmie spogląda tylko, kto głosuje, ażeby w czas rękę do góry podnieść lub siedzieć wytrwale — i to nie zawsze dobrze trafi. Powiadają, że niegdyś było pod tym względem lepiej — może — czasów tych nie znam.

Nie mogę pominąć milczeniem jeszcze dwóch wypadków, posiadających charakter nowości: jest to mowa posła Lewakowskiego w Radzie państwa z powodu nadużyć władzy politycznej w Galicyi **) i jubileusz 40-letniej pracy dziennikarskiej p. Henryka Rewakowicza. Co do Lewakowskiego, można mu zrobić wiele zarzutów jako politykowi, to wszakże nie ulega wątpliwości, że miewa on w życiu swojem parlamentarnem szczęśliwe chwile i odwagę. Mowa jego i nagły wniosek przeciw nadużyciom urzędników galicyjskich miały ten charakter. Wniosek o mało nie przeszedł. Dowodziłoby to niezwykłego nastroju w parlamencie. Czesi i Niemcy skorzystali, ażeby rzucić jeszcze raz, znany dobrze i w Warszawie, frazes, że brudną bieliznę należy prać w ukryciu. Frazes dobry, ale źle zastosowany. Nie o Galicyę im chodziło, lecz o rządy Badeniego, niesympatyczne dla Niemców; skorzystano więc ze sposobności, ażeby powiedzieć: patrzcie, co się dzieje w Galicyi! Zapomniano jednak o rzeczy najważniejszej: nadużycie popełnili urzędnicy *austryaccy*. Z tego też punktu mowa Lewakowskiego miała zupełną słuszność. Jeżeli kraj posiada pewne prawa, a łamią je urzędnicy przez źle zrozumianą pilność, lub poprostu przez chęć przypodobania się, jak to miało miejsce w Przemyślu, gdzie jakiś marny „praktykant konceptowy“ pragnie zbyt gorąco podwyższenia pensyi — to narodowość tych urzędników jest rzeczą obojętną. Papuasi, resztki czesko-niemieckich „precliczków,“ czy też „prawdziwi Polacy“ jednako mogą być na stanowisku urzędników galicyjskich szkodliwi. Mowa Lewakowskiego miała na celu nie narodowość, lecz wstrętny i płytki biurokratyzm niemiecki, który przywdziawszy od parady polskie szaty, brużdzi i drażni społeczeństwo jak za dawnych czasów. Z takim rakiem państwowym, toczącym Austryę, krępującym jej życie, powstrzymującym jej politykę, walczyć trzeba i należy. Kwestyę nadużyć urzędniczych w Galicyi trzeba stawić nie na gruncie wyjątkowości, lecz fałszywej zasady politycznej, z którą trzeba brać się za bary. Szkoda tylko, że walczą z nią zbyt trwożliwie,

Do najwytrwalszych szermierzy o lepsze warunki życia w Galicyi należy niezawodnie Henryk Rewakowicz. Zasługi jego na tem polu są wielkie i niezaprzeczone. Ludzi „dobrze wychowanych,“ którzy lubią obchodzić się z prawdą, jak z pieścidełkiem, ostrożnie i delikatnie, razi w Rewakowiczu bezwzględność i szorstkość argumentacyi. Nie przeczę, że dla stron interesowanych jest to cecha nieprzyjemna, ale jest to właściwość wszystkich ludzi gruntownie prawych, którzy z uczciwością kompromisów nie robią żadnych. To też Rewakowicz w życiu publicznem Galicyi ostatniego trzydziestolecia wywalczył sobie bezwątpienia jedną z najpiękniejszych kart. Głos jego stał się głosem sumienia publicznego. W każdej ważniejszej sprawie pytano zawsze: ciekawy jestem, co też on powie. W zapytaniach tego rodzaju brzmiała nieraz nuta ironii, często lekceważenia — ale w gruncie rzeczy liczono się z jego zdaniem. Tacy nawet, którzy publicznie nie przyznawali mu nigdy słuszności, z zasady i zaliczali się do jego przeciwników, po cichu chwalili go. Stronnictwo władzy obawiało się Rewakowicza, jego bezwzględnej prawdomówności i uczciwości, to też usilnie starano się o to, ażeby go do głosu w Radzie państwa i Sejmie nie dopuścić. Zwyciężali go zwykle — Ciuchcińscy. Tylko ludzie jasnych przekonań politycznych, niepopierający osób „na stanowisku,“ nieobawiający się wrzekomego warcholstwa, oddawali Rewakowiczowi głosy swoje — a prawdę należy powiedzieć, że głosów tych zdobywał on sobie coraz więcej. Przy ostatnich wyborach liczba ich była bardzo poważną.

Ch.



*) Wybrani: Zoll, Małachowski i Soleski. *Red.*

**) Pisałem o tych nadużyciach:

SZKOŁY DLA DOROSŁYCH.

I.

W okresie, kiedy społeczeństwo dąży do zdobycia jaknajwiększej produkcyjności sił ludzkich i kiedy jedną z dróg, prowadzących do tego celu, jest usiłowanie stworzenia jaknajwiększej liczby szkół zawodowych dla dziatwy i młodzieży dorastającej, pomimowoli nasuwa się pytanie, co będzie z masą dorosłych, zupełnych analfabetów lub umiejących zaledwie czytać i pisać, a wprzęgniętych również do pracy fachowej we wszelkich ogniskach produkcyi przemysłowej? Jeżeli przy wzroście szkół i ułatwieniu w nich nauki będą oni pozostawieni losowi, to łatwo przewidzieć skutki. Rzesze uzdolnionych do pracy zawodowej przez oświatę zepchną owych ciemnych na szary koniec, pozwolą im żywić się pogardzonemi okruchami lub nawet i do nich nie dopuszczą. Powstaną tedy tłumy mało lub wcale nieprodukcyjne, które obarczą społeczeństwo przymusowem bezrobociem lub pomnożą szeregi przygodnych wyrobników.

Niebezpieczeństwo takie groziłoby nam istotnie, gdyby szkoły fachowe gwałtownie wzrastały i gdyby naraz uprzystępnione dla mas, rzuciły na rynki tłumy robotników sprawnych, wykształconych zawodowo i ogólnie. Ponieważ taka przemiana nie może być w naszych warunkach ani nagła, ani szybka, więc niebezpieczeństwo w całej rozciągłości nie grozi ciemnym lub elementarnie wykształconym; ale bądź co bądź nawet przy słabym wzroście liczby uzdolnionych fachowo i oświeconych ogólnie tamci muszą być ustawicznie spychani, chociaż taki stan rzeczy nie da się wyraźnie spostrzedz. Faktem więc jest, że system taki wzbogacając z jednej strony społeczeństwo w siły fachowe — światłe, z drugiej uboży je i barczy ludźmi przymusowo nieprodukcyjnymi lub mało produkcyjnymi skutkiem ciemnoty.

Na Zachodzie Europy spostrzeżono już dawno to zjawisko i przedsięwzięto środki zapobiegawcze; mianowicie urządzono szkoły, wykłady, odczyty itd. dla dorosłych, ażeby ci mogli przynajmniej do pewnego stopnia dorównać młodszym, kształconym od dzieciństwa.

W Rosyi dopiero teraz zwrócono na to baczniejszą uwagę. Mianowicie we wniosku p. ministra oświaty, ogłoszonym w lutym r. 1895 i traktującym o kursach wieczornych i niedzielnych dla ludności robotniczej, czytamy, że nauka może być szerzoną tą drogą „nietylko śród uczniów szkolnych, ale i śród ludzi, którzy już otrzymali ogólne wykształcenie i oddali się pracy praktycznej.“ Na drugim zjeździe profesyonalistów (w styczniu r. b.) sprawa ta przybrała bardziej określony charakter i wywołała osobny referat, opracowany przez p. A. Gatlicha, który obecnie mamy właśnie przed sobą (nr. 7 i 8 miesięcznika *Obrazowanie*).

Przedewszystkiem zajrzyjmy do wzorów obcych. We Francyi jeszcze r. 1863 komisya pod przewodnictwem ministra robót publicznych przyszła do przekonania, że bez wykształcenia ogólnego, chociażby w granicach elementarnych, niepodobna marzyć o technicznem, nawet w najskromniejszych rozmiarach. W Niemczech, Belgii i Szwajcaryi, pomimo, że panuje obowiązkowa nauka szkolna, ważną odgrywa rolę ogólne kształcenie w zakładach naukowych technicznych i rzemieślniczych. Również ważne ma znaczenie ten zakres oświaty w Anglii na kursach wiedzy fachowej, urządzanych przeważnie przez związki robotnicze, po-

mimo, że może nigdzie do tego stopnia jak w tym kraju, wiedza specyalna nie jest rozdrabniana i że już w r. 1876 było tam (w Anglii i Irlandyi) 81% oświeconych.

W Rosyi brak jest pod tym względem dokładnych danych statystycznych. Na zjeździe profesyonalistów w przybliżeniu podano 30% piśmiennych śród warstw produkcyjnych i tak zwanych pół-produkcyjnych. Procent ten w pewnych miejscowościach śród młodych jest większy, śród starszych — znacznie mniejszy. Jeżeli zaś wziąć pod uwagę tylko robotników w fabrykach i zakładach przemysłowych, to procent piśmiennych będzie przerażająco mały, gdyż jako tako oświeceni są odciągani gdzie indziej na oficyalistów do zakładów handlowych, hotelów, na posłańców, listonoszów i do innych podobnych zajęć w miastach.

O ileżby jednak stosunek gorzej wyszedł, gdyby można było wykazać oświatę nietylko ilościowo, lecz i jakościowo: kategoryę ludzi, posiadających cokolwiek więcej, niż znajomość liter, tj. takich, którzy mogą być odpowiednimi kandydatami na kursy niedzielne i wieczorne, przygotowanymi do nauki rysunków, kreślenia, technologii rzemiosł, fizyki, chemii (przynajmniej w elementarnym zakresie) itd.

Pewne wskazówki w tej mierze dają klasy dla robotników, urządzone w Petersburgu przez Towarzystwo techniczne. Przy wszystkich szkołach tej instytucyi istnieją kursy ogólnie kształcące, ale nie przy wszystkich, z braku kandydatów, są klasy specyalne. Od r. 1882 w ciągu dziesięciu lat z liczby 6,000—7,000 słuchaczów, uczęszczających do szkół Towarzystwa technicznego, wyszło ze świadectwami ukończenia klas ogólnie kształcących 500; ze świadectwami zaś klas specyalnych — tylko 100. W pewnych wypadkach kandydatów wcale nie było, w innym znowu razie na 45-ciu zapisanych w końcu roku pozostało tylko siedmiu. Dzieje się to w ognisku wielkiej produkcyi!

Jeden z wyższych kierowników szkół tłómaczy to zjawisko położeniem robotników: Warunki, przy których oni uczęszczają do szkoły, są tak ciężkie, że wprost na uznanie szczególne zasługują ci, którzy przez kilka lat dobrowolnie poddają się jarzmu wiedzy, tego „czynnika dobrobytu," ale chyba w dalekiej przyszłości. „Muszą oni natężać swoją energię prawie nad siły, ażeby po 10—12-tu godzinach pracy fizycznej, prawie w nocy prosto od roboty przychodzić do szkoły, mógł rozumieć to, co się im wykłada i czego po za obrębem szkoły z braku czasu nie mogą zdobyć" (Michajłow, *Wykształcenie techn. I*, 1893).

Ale nie tutaj tkwi główna przyczyna niepowodzenia klas specyalnych. P. Gatlich widzi je w apatyi robotnika, w braku uświadomienia potrzeby ciągłego doskonalenia się gwoli dobru społecznemu. Dodajmy, że zmysłowy i etyczny rozwój robotnika wcielono do jego produkcyjności, a więc oba te czynniki są traktowane z punktu jednostronnego utylitaryzmu. Wzrost produkcyjności pracy ludzkiej, to marzenie wieku dzisiejszego, a raczej wybitnych jego przedstawicieli w rozwoju materyalnym. Pomijając wszakże wszelkie subtelności pobudek i interesu, musimy wyznać, że dążność do ogólnego kształcenia warstw pracujących ma doniosłe znaczenie społeczne i ekonomiczne, więc bierzemy je z tych dwu stanowisk bez podkładu psychologicznego i etycznego.

Dotychczas panuje przekonanie, że najlepszym, racyonalnym środkiem takiego kształcenia są szkoły niedzielne i kursy, czyli klasy wieczorne, szczególnie tam, gdzie ze względów materyalnych rodzice nie mogą długo posyłać swych dzieci do szkoły. Cel zakładów powyższego typu określono na zjeździe profesyonalistów w sposób następujący: 1) Powinny one dać wykształcenie początkowe tym, którzy wcale go nie zdobyli lub posiadają w bardzo słabym stopniu. 2) Powinny ułatwić zdobycie wiadomości podstawowych tym wszystkim, którzy są oddani pracy praktycznej, a chcieliby wzbogacić swą wiedzę w chwilach wolnych — wieczorem i w święta. Tym sposobem należy stworzyć dwa typy szkół ogólnie kształcących: 1) początkowe niedzielne, które mogą być także wieczornemi i południowemi (między godzinami pracy rannej i poobiedniej), stosownie do warunków miejscowych, i 2) kursy niedzielno-wieczorne. Co do pierwszych, praktyka przekonała, że program ich powinien być „rozciągliwym," tj. podlegać dowolnym zmianom, odpowiednio do materyału, wieku słuchaczów, stopnia ich przygotowania i rozwoju umysłowego. Np. na zjeździe profesyonalistów zwrócono uwagę, że obecne szkoły niedzielne nie mają prawa uczyć rysunków i kreślenia, a już i mowy nie ma nawet o elementarnych wiadomościach z dziedziny fizyki, chemii, hygieny i innych niezbędnych przedmiotów. Wedle ustawy wolno tam wykładać tylko religię, naukę czytania, pisania i rachunków. Drugim warunkiem powodzenia takich szkół i ich pożytku, to są stosowne przy nich biblioteki. W Anglii np. księgozbiory przy szkołach dla robotników mają doniosłe znaczenie, jako środek kształcący. W Rosyi, jak zaznacza p. Gatlich, biblioteki przy szkołach niedzielnych wolno tworzyć tylko z tych książek, które służą dla szkół wiejskich, tj. ludzie dorośli są postawieni na poziomie malców 10—12-letnich.

Zen. Piet.

PAMIĘTNIK.

Ukształcenie techniczne

Rok bieżący możnaby nazwać rokiem szkół, przybyło ich bowiem w samej Warszawie blizko dziesięć i — co ważniejsza — prawie wszystkie specyalne — handlowo - techniczne. Rzecz naturalna, że po dwumiesięcznem istnieniu trudno wyrokować o ich wartości; chcemy więc dziś tylko zwrócić uwagę na jeden szczegół, naszem zdaniem, zasługujący na uwydatnienie. Przy niższej szkole technicznej p. Świecimskiego założone zostały warsztaty *). Otóż obok uczniów, kształcących się w niej teoretycznie (od wstępujących wymagane jest przygotowanie trzyklasowe), mogą do owych warsztatów uczęszczać chłopcy, pragnący uzdolnić się tylko praktycznie — w kierunku mechanicznym i budowlanym. Tu szkoła zastąpi im terminowanie, tak zwykle długie, kosztowne i wyzyskujące. Zakład p. Świecimskiego nie obejmuje wszystkich rzemiosł (stolarstwo, ślusarstwo, kowalstwo, tokarstwo i giserstwo), ale czyni pierwszy krok na drodze, na której dalej pójść powinniśmy. Mianowicie wszystkie szkoły techniczno-rzemieślnicze powinny otworzyć swe warsztaty dla chłopców, przychodzących jedynie na naukę praktyczną. Kto poznał, a zwłaszcza kto bezpośrednio doświadczył, co znaczy i co warte terminowanie u majstra, który za dobrą opłatę oddanego mu malca używa do posług, głodzi, bije opóźnia w kształceniu, ażeby mógł go dłużej wyzyskiwać, wreszcie wyzwala po kilku latach za okupem i wypuszcza ze swych rąk czeladnika słabo uzdatnionego, oswojonego z rozmaitymi nałogami, zepsutego moralnie, zniszczonego fizycznie — kto—mówimy — dotknął się takiej tresury, ten zrozumie, jakiem dobrodziejstwem dla wielu chłopców byłoby terminowanie w szkole, zamiast w warsztacie prywatnym. Cały czas praktyki zużywaliby oni na kształcenie się, nadto przebywaliby w lepszych warunkach hygienicznych, w otoczeniu, któreby dodatnio wpływało na ich umysł i uczucia. Przyznać trzeba, że ostatnie lata posunęły nas już w tym kierunku znacznie. Mamy szkołę rzemieślniczą Konarskiego (rządową), szkołę Kuhna, szkoły kolejowe, rodzaj niższej politechniki Mittego, obecnie przybył zakład Świecimskiego, który w programie przedstawia się bardzo obiecująco, a zapewne i w wykonaniu da rezultaty pożądane.

Z jednej strony brak miejsca w gimnazyach i wyższych instytutach naukowych, z drugiej — coraz głębiej i szerzej utrwalające się przekonanie, że nie są to wyłączne drogi zdobycia chleba i stanowiska, że adwokatura, medycyna i inżenierya nie zapewniają już dziś tej karyery, co dawniej, a natomiast wiele zawodów t. zw. „pośledniejszych" daje byt niezależny — te względy wytworzyły w społeczeństwie naszem silną chęć kształcenia chłopców w niższych szkołach technicznych i rzemieślniczych. Jedyną tamą, powstrzymującą rodziców od zwracania synów do tych zakładów jest brak przywilejów służby wojskowej. Kończący szkołę prywatną muszą na równi z niekończącymi żadnej przebywać w armii lat 4—5, co stanowi zbyt dotkliwą szczerbę w życiu młodego człowieka. To też dyrektorowie takich szkół powinni koniecznie wyjednać u władzy odpowiednie ulgi—a wtedy mogą oni liczyć na wielkie powodzenie.

*) Szkoła ta ma trzy wydziały: mechaniczny, chemiczny i budowlany; warsztaty zaś przyjmują obstalunki robót.

Instytucye martwe.

Słyszymy i czytamy w pismach co pewien czas o posiedzeniach, zebraniach, balotowaniach, wyborze członków, komisyj, komitetów, prezesów, o kursach, zajęciach praktycznych, dyplomach itd. itd., ale ostatecznie zsumowawszy wieloletnią działalność Towarzystwa jedwabniczego, Muzeum pszczelniczego i tym podobnych instytucyj martwych, otrzymujemy w rezultacie nic, albo tak mało, że nasuwa się pytanie, czy nie szkoda na te przedsięwzięcia czasu i atłasu. Towarzystwo jedwabnicze, które świeżo przypomniało się ogółowi powołaniem na prezesa p. Milguj-Malinowskiego (po zmarłym Banzemerze), miewa zebrania garsteczki członków, sprzedaje jajeczka i kupuje kokony, ale czy przez cały ciąg jego istnienia produkcya surowego jedwabiu zwiększyła się u nas o 100 funtów, a hodowla morwy o 1,000 drzew—wątpić można. Jak przedtem, tak i obecnie nie posiadamy pewności, że ta gałąź przemysłu może się rozwijać w kraju naszym, zwłaszcza wobec słabej wytrzymałości morwy na surowy nasz klimat. Osłonięta, w gruntach cieplejszych, trzyma się ona nieźle, w gorszych warunkach wymarza. Otóż czy warto rozbijać mur głową i czy nie należałoby zwrócić usiłowań ku czemu innemu, obiecującemu lepsze skutki?

Prawie to samo rzec można o Muzeum pszczelniczem. Uczy ono i uczy, wyrabia ule, sprzedaje roje, a pomnożenia się pasiek w kraju dostrzedz trudno. Nie wiemy nawet wcale, jak u nas stoi ten przemysł, jaka jest nasza produkcya miodu i wosku, jakie ona przedstawia prawdopodobieństwo korzyści, jakie ceny tych wytworów (nigdy nienotowane w wykazach handlowych) itd. Do pszczelnictwa dołą-

czono w Muzeum ogrodnictwo, ale i z tej mąki chleba nie widać. Teraz znowu pisma donoszą, że hr. Branicki ofiarował instytucyi dwie morgi gruntu (we Frascati), które mają być użyte częścią dla pasieki, a częścią na stawy. A więc do pszczelnictwa i ogrodnictwa przybywa rybołóstwo. Czy nie za dużo srok? Czy słaba działalność, rozstrzelona w tylu kierunkach, nie zwątleje jeszcze bardziej? Nam się zdaje, że Muzeum powinnoby się skoncentrować, skupić całą energię i środki na jednem polu i pracować na niem z większym nakładem sił i starań, niż dotąd. Inaczej pozostanie instytucyą martwą i nie będzie dobrze kształcić ani pszczelarzy, ani ogrodników, ani rybaków, zwłaszcza że te zawody mają między sobą bardzo mało wspólności.

„Bydło słowiańskie.“

Pod tym tytułem *St. Pet. Wiedomosti* wystąpiły z obroną chłopów polskich z Królestwa, poniewieranych i wyzyskiwanych jako najemnicy przez rolników pruskich. Według tej gazety, corocznie na wiosnę agenci żydów, trudniących się t. z. „Russen-Import,“ przebiegają gubernie naszego kraju i werbują *dziesiątki tysięcy* ludzi dla prowincyj pruskich. „Zarobki w Prusiech — mówi dziennik petersburski — są istotnie wyższe. Nadto przeważa tam opłata od wykonanej pracy, a wobec tego pilny najemnik może zarobić o 30% więcej, niż u siebie w domu. Nadto nizki kurs rubla sprawia, że ten najmita, opłacony pieniędzmi pruskiemi, zyskuje jeszcze przy zmianie ich na rosyjskie. Dawniej, przy wysokim kursie rubla, robotnik pruski przychodził do gubernij Królestwa, bo z powrotem zyskiwał na zmianie pieniędzy.“ Wiedzieć przytem należy, iż chłop nasz, przechodzący granicę za 10-dniową kartką, pozostając tam dłużej, nie posiada właściwie żadnego dowodu osobistego. Korzystają z tej okoliczności obywatele pruscy, którzy, gdy im już niepotrzebny, uznają go za włóczęgę i odstawiają do granicy. A ponieważ wyrzucony nie zna języka niemieckiego, więc nie może się bronić przeciw niesprawiedliwości i gwałtowi. A jak on jest traktowany i wynagradzany! Otrzymuje gorszą strawę i niższą płacę, niż robotnik miejscowy, można go przytem zwymyślać i znieważyć do woli, bo nie pozwie do sądu i nie upomni się o swą krzywdę. „Tak więc — ciągną dalej *St. Pet. Wiedomosti* — panowie Prusacy patrzą na robotnika importowanego z gubernij Królestwa, jako na bydło robocze, niegodne najelementarniejszych warunków egzystencyi człowieka i nie tają się nawet z wypowiadaniem takich poglądów i opinij. Wobec takich warunków, popyt na robotnika polskiego w prowincyach pruskich wzrasta stale, a władze pruskie popierają przechodzenie włościan polskich przez granicę za krótkoterminowemi kartkami legitymacyjnemi. Ilość też najemników, udających się za granicę, wzrasta z rokiem każdym. Gdy przed laty 4—5 nie przewyższała ona kilku dziesiątek tysięcy, to obecnie śmiało rzec można, że sięga 100,000. To przechodzenie robotnika polskiego na stronę pruską budzi w organach prasy niemieckiej obawy i wnioski o dążeniu Słowian na Zachód i zawojowywaniu Prus przez Słowian. Co dziwniejsza, że wnioski takie drukują się w organach agraryuszów np.: *Correspondenz des Bundes der Landwirthe*, która jest organem centralnego klubu agraryuszów pruskich—klubu, który opracowywa różne projekty przeciwko przywozowi do Niemiec produktów obcokrajowego rolnictwa. Jeśli prusacy-rolnicy przewidują, że włościanie miejscowi uciekną od nich i że miejsce ich zastąpi „bydło słowiańskie,“ to zdawadłoby się, że powinni starać się wszelkiemi siłami o zabronienie przez rząd owego „Russen-Import.“ Ale rzecz prosta, że tego przywozu nigdy się nie wyrzekną, a wszystkie wnioski i obawy o najście Słowian są tylko frazesami, użytymi do zamydlenia oczu i zatajenia istotnego stanu rzeczy.“

Zjazd taryfowy.

Na poniedziałkowem posiedzeniu sekcyi rolnej Adolf Suligowski zdał sprawę z przebiegu obrad w Petersburgu nad przekształceniem obecnego systemu taryf zbożowych. Sprawozdawca sam był uczestnikiem wszystkich posiedzeń, jako przedstawiciel interesów naszego rolnictwa. To też z przyjemnością i wielkiem zajęciem wysłuchaliśmy relacyi światłego ekonomisty i gruntownego znawcy sprawy. Przedstawił on ją, że tak powiemy, nietylko ze strony ekonomicznej, lecz i psychologicznej. W zjeździe wzięło udział 150 osób, z tych niebywała dotąd liczba, bo prawie połowa (66) rolników, nadto 8-miu przedstawicieli Towarzystw rolniczych. Druga połowa składała się: z 9-ciu młynarzy, 17-tu przedstawicieli komitetów giełdowych, 32 kolei i 18-tu władz państwowych. Wszystkie te grupy ujawniły nadzwyczajną sprzeczność interesów. Przytem przedstawiciele prawie wszystkich dziedzin: rolnictwa, młynarstwa, giełd, kolei żelaznych, narzekali na niepomyślne warunki ekonomiczne w związku z taryfami zbożowemi; ale jednocześnie wykazali w większości zgodną dążność do zniżenia opłaty przewozowej, stosowanej obecnie według taryf różniczkowych. W tem dążeniu przebija się jakaś gorączkowa doryweczość, płytkość i jednostronność zapatrywań osób interesowanych. Nie wyrażono też wogóle głębszego poglądu, nie dano szerszego podkładu ekonomicznego sprawom tak ważnym, jak taryfy, potrącające o najróżnorodniejsze interesy ludności. Takie traktowanie wyłoniło się także i w pismach niektórych. Był wprawdzie jeden ekonomista i przedstawiciel kolejowy, p. Fiodorow, który swemu długiemu przemówieniu usiłował nadać podkład programowy, ale spotkał się z trudnościami: przerywano mu. Jednocześnie zmiażdżyli go mówcy-rolnicy za jego dziwaczny pogląd. Twierdził on mianowicie, że taryfami jest zainteresowana stosunkowo niewielka liczba ludzi, zaledwie 400,000 w całem państwie, gdyż, zdaniem jego, włościanie, pewne kategorye rolników itd. nie mają nic wspólnego z taryfami. Pogląd taki istotnie trzeba podziwiać wobec szerokiego rozmachu mówcy i chyba zaliczyć należy na karb figielków retorycznych, którymi chciał osiągnąć skutek pożądany—nie zniżanie taryf, i dziś już do tego stopnia niskich, że podobno w pewnych wypadkach przewóz prawie nie opłaca się; straty ponoszą nietylko koleje; lecz i skarb. Jak rzekliśmy, brak było szerszego podścieliska ekonomicznego, nie uwzględniono także kwestyi nadprodukcyi i nie wyjaśniono tego zjawiska, jako motywu do reform taryfowych. Stworzono tylko inny termin: „nadzaofiarowanie,“ tj. stwierdzono większe zaofiarowanie, niż tego wymaga istotna potrzeba. W drobiazgowem rozpatrywaniu taryf poruszono kwestyę, czy potrzebne są osobne: wywozowe za granicę i przewozowe wewnętrzne? Czy trzeba odróżniać gatunki ziarna i wogóle zboże od przemiału? Wiele czczych i chaotycznych słów w tej sprawie wypowiedziano, ale natomiast pominięto zupełnie ważną kwestyę, jak zabezpieczyć się, ażeby zboże zaliczone do kategoryi wywozowego nie wracało z za granicy. Wogóle zjazd nie doszedł do jasnych, stanowczo sformułowanych wyników. Dano tylko nadzieję, że obecny system ulegnie pewnemu złagodzeniu w przeskokach opłat i że będą, o ile można, uwzględnione interesy wszystkich sfer ludności.

Śpiewacy opery warszawskiej

Warszawa słynie jako miasto bardzo „muzykalne,“ tj. lubiące dobre utwory muzyczno-wokalne i świetnych ich wykonawców. Inne widocznie mają o nas mniemanie za granicą, skoro wybrakowani, że skończoną karyerą „artyści“ śpieszą do nas z tą pewnością, że znajdą powodzenie. Fakt ten stwierdza obecna opera warszawska. Tenor *sześćdziesięcioletni*, o którym dawno już zapomniano w jego ojczyźnie, u nas gra role *amantów* i przedartym, nieludzkim głosem razi uszy nawet tych, co nie mają pojęcia o śpiewie. Dzięki temu bohaterowi, świeżo wystawiona opera *Lakme* upadła, bo, mówiąc dosadnym stylem warszawskim, jego skandaliczny głos nawet na tle chóru zakulisowego psuł harmonię i drapał po nerwach nietylko subtelnych, lecz i postronkowych. Obecnie przybył nam drugi podobny tenor. Pamiętamy, przed paru laty jeden taki emeryt włoski zupełnie bez głosu, musiał natychmiast po pierwszym występie Warszawę opuścić. Dziś jednak dwaj inni inwalidzi, prawdopodobnie świadkowie powodzeń tamtego przed ćwiercią wieku, zapanowali na scenie i wygnali publiczność z teatru, świecącego smutną pustką. Zjawisko to całkiem dla nas niewytłomaczone, tembardziej, że potrafiono zjednać dla naszej sceny tak wielkie dwie siły śpiewacze, jak panna Pacini i p. Battistini. Czyżby już więcej dobrych śpiewaków nie można znaleźć za te hojne honorarya, jakie opera warszawska płaci przybyszom?



NOWY SOCYOLOG FRANCUSKI.

Od lat kilku istnieje na wydziale literackim w Bordeaux katedra socyologii. Miewa na niej wykłady prof. Emil Durkheim, o którym w roku bieżącym zaczęto mówić i odrazu bardzo wiele. Napisał on dotychczas, nie licząc artykułów, dwie książki nierównej objętości, lecz równej wartości, z których pierwsza, „O podziale pracy społecznej“ (1893), przeszła dość niepostrzeżenie, a druga, „Prawidła metody socyologicznej“ (1895), wywołała tak liczne spory i krytyki, że np. niema prawie numeru tegorocznego *Revue philosophique*, któryby nie zawierał studyum o jej autorze. Krytycy jego, jak G. Sorel, Tarde lub Bernès, stoją na najrozmaitszych stanowiskach i z tych swych różnorodnych punktów widzenia nie zgadzają się ani na jedno jego zdanie. Nie skąpią jednak grzeczności temu, który powiedział znamienną sentencyę: „Niema zaiste innego sposobu zbudowania nauki, tylko trzeba się odważyć, lecz — z metodą“ — sentencyę, w której przez proste zapomnienie opuścił takie czynniki badania, jak erudycyę i mocny umysł. Podziwiają również drobiazgowość rozumowania, gdy np. chcąc mówić o „funkcyi społecznej,“ rozwodzi się o tem, że są dwa określenia funkcyi, które przytoczyć należy, że on będzie mówił o niej w jednem tylko znaczeniu, dla takich a takich powodów, że nie będzie jednocześnie mówił o „celu społecznym,“ dla innych znowu powodów, których również pominąć nie można — a wszystko to czyni z przekonania, że niepodobna odrazu zacząć mówić o tem, o czem się ma mówić. Podziwiają przenikliwość jego, która zdobywa się na takie zdania: „Ogól-

ność zjawisk normalnych nie jest bez przyczyny, lecz lepiej wiedzieć dokładnie, jaką jest ta przyczyna." Podziwiają odwagę jego w atakowaniu najtrudniejszych zagadnień, gdy np. stawia sobie takie: „Pozostaje dowiedzieć się, czy powinniśmy chcieć żyć." Koniecznem jest jeszcze zwrócić uwagę na inne cechy Durkheima, które nie mniejszy podziw budzą, jak jego suchość i bezbarwność wykładu, jego mistrzowstwo w monotonii, jego zręczność wielką w unikaniu wszystkiego, co nazywa się polotem — cechy, które są w zupełnej zgodzie z jego przekonaniami, iż „dzisiaj potrzebujemy o wiele mniej umysłów delikatnych, zdolnych smakować w rzeczach pięknych i wyrażać się z elegancyą."

Poglądy jego również wywołują istotne zdziwienie. Jednym z najbardziej oryginalnych i szczególnych jest t. zw. objektywizm, który nigdy jeszcze nie został doprowadzony do tak śmiałych konsekwencyj. Koroną jego jest to prawidło metody socyologicznej, aby „na zjawiska społeczne zapatrywać się jak na rzeczy," obserwować je jak przedmioty martwe, np. związki chemiczne, jedynie ze strony zewnętrznej, bezstronnie, czysto rozumowo, bez „uprzednio nabywanych poglądów." Bezwarunkowo Durkheim lekceważy tę potężną część pierwiastków psychologicznych, które tkwią w każdem zjawisku społecznem, i widzi w objawach „zewnętrznych" tych zjawisk coś innego, niż wynik pracy potrzeb i uczuć ludzkich. Również każe on przedewszystkiem uważać w objaśnianiu zjawisk na to, czy zostało ono uprzednio nabyte, czy w toku badania, czy następnie, na ostatnim planie stawiając jego udowodnienie. Ten „objektywizm" nie jest wcale poglądem przypadkowym, nieważnym, lecz jądrem całego jego myślenia. Był prawdopodobnie punktem, który skrystalizował się w jego umyśle najwcześniej i najgłębiej, był tym pierwiastkiem, który nadał całej następnej krystalizacyi kształt i naturę. Jest to, mówiąc ściślej, jądro nie logiczne, lecz psychologiczne wszystkich poglądów Durkheima.

Autor uważa za sprawę pierwszorzędnej wagi określić normalność lub nienormalność wszelkiego zjawiska społecznego, bo zależnie od tego powinno ono być pożądanem lub nie — przez ludzkość. Dla stwierdzenia zaś normalności zjawiska w danem społeczeństwie, dość wykazać jego „powszechność" i dowieść, że ona „zawisła od warunków ogólnych życia zbiorowego w rozpatrywanym typie społecznym. Droga to dość prosta, zwłaszcza przy niezwykle rozwiniętym stanie socyologii, jakiego dzisiaj niema. Znaczenie zatem teoryi, że chcieć trzeba tego, co jest normalnem, bije w oczy. Już nie interes, nie instynkt, nie namiętność, „wszystkie poziome i ciemne strony nasze" mają prowadzić działalność praktyczną ludzi, lecz czysty rozum *), teorya normalności, jako owoc „objektywizmu." Ludzie wreszcie mają sposób dowiedzenia się, czego powinni chcieć. I Durkheim mówi: „Nie idzie już o to, aby ścigać rozpaczliwie cel, który ucieka, w miarę tego, jak się posuwamy naprzód, lecz — aby pracować z wytrzymałością prawidłową nad utrzymaniem stanu normalnego, nad przywróceniem go, jeśli jest zakłócony, nad odnalezieniem warunków, jeśli podlegają zmianie.

Rozwój społeczny polega na ciągłem powstawaniu pierwiastków nowych, innego rodzaju, niż stare, i niszczeniu tych właśnie starych. Jedne i drugie, stare i nowe, istnieją w każdem społeczeństwie, istnieją „powszechnie," i powszechność ta „wynika z warunków ogólnych życia zbiorowego"; jedno i drugie więc powinny być „normalne." Ponieważ w działalności społecznej Durkheim każe chcieć tylko tego, co normalne, każe tem samem ludziom popierać oba rodzaje zjawisk: utrzymywać pierwiastki stare, które dławią rozwój nowych i które dlatego tylko są, że tego rozwoju nie dopuszczają; i utrzymywać pierwiastki nowe, które rozsadzają i niszczą stare i dlatego tylko istnieć mogą, że je zastępują. Durkheim każe ludziom, którzy są wyobrazicielami starych prądów, dążyć do utrzymania siebie i jednocześnie do rozwijania nowych, czyli niszczenia siebie; z drugiej znowu strony każe tym, którzy wyobrażają prądy nowe, chcieć swego rozwoju i jednocześnie utrzymania się starych, czyli swego zaniku. Każe on chcieć obu sprzecznych prądów, czyli inaczej, postępować w jednym kierunku i zarazem w innym, ten pierwszy kierunek pożerającym. Rozwiązuje tą drogą zagadkę, jaką dał pewien dowcipniś: zawisnąć w powietrzu w ten sposób, iżby podnieść z początku jedną nogę, a potem, ciągle trzymając ją w górze — drugą. Jeżeli zarzut powyższy przyjść komu może do głowy, to teorya „normalności" Durkheima zupełnie nad nim tryumfuje. Autorowi bowiem wystarcza odpowiedzieć, że przecież „jest jedyny tylko sposób budowania nauki, mianowicie, odważyć się — lecz z metodą," i że niepodobna liczyć się z rzeczywistością, która jest do tego stopnia „bez metody," iż kryje w swem łonie sprzeczności.

Durkheim nie zostawia swej teoryi „normalności" bez przykładu unaoczniającego. Między innemi przytacza jako zjawisko normalne — przestępstwo, co wywołało żywą polemikę z Tardem. Wyznaje, że długo sprawiało mu ono znaczny kłopot, wreszcie jednak zdecydował się. Nie wyciąga on wszakże ostatecznego wniosku, prawdopodobnie wskutek tego, iż jest oczywistym — wniosku bardzo ciekawego, że nietylko unikanie przestępstwa jest pożądanem, lecz i popełnianie go, bo jedno i drugie jest normalnem. Ponieważ „normalność" zjawiska da się określić tylko względnie do „typu," „gatunku" społecznego, w którym ono jest normalnem, Durkheim daje ogólny zarys klasyfikacyi społeczeństw wszystkich ludów i czasów na „gatunki." Przypuszczając prawdopodobnie, że czytelnik wie, na jakich mianowicie faktach niezliczonych ona jest oparta, więc rozpoczyna poprostu: „Wiemy istotnie, że społeczeństwa składają się z części dodawanych jedne do drugich... Wiadomo istotnie, że te części składowe społeczeństwa są same społeczeństwami bardziej prostemi" itd. Sama klasyfikacya odznacza się również przedziwną prostotą. Są społeczeństwa z ustrojem rodowym i społeczeństwa z ustrojem państwowym, czyli rodowe i państwowe, jak je nazywa Morgan. Trzeba jednak zauważyć, że Durkheim nadał temu podziałowi barwę oryginalności, gdyż społeczeństwa rodowe nazywa „segmentowemi," a państwowe „organicznemi."

Oczywiście, wszystko każe się spodziewać, że przystępując z taką metodą socyologiczną do badania zjawisk społecznych, ma zapewnione odpowiednie rezultaty. Tak się rzeczywiście stało, gdy zajął się ważnem bardzo zjawiskiem, jakiem jest podział pracy społecznej. Wprawdzie książka, którą temu przedmiotowi poświęcił, nie zawiera prawie wcale faktów, ale za to obszerne rozumowania, które zniewalają przypuszczać, iż oparte są na faktach.

Jaka jest geneza podziału pracy? Nie inna, tylko ta, że z powodu wzrostu i gęstnienia ludności, walka o byt między ludźmi się zaostrza; ona zaś wywołuje podział pracy, gdyż osobniki tem łatwiej się utrzymać potrafią na pewnej przestrzeni, im różnorodniejsze źródła życia wynajdą. Ponieważ ta teorya wymaga potwierdzenia licznych faktów, a nie powoływania się na autorów, którzy ją przedtem już wypowiedzieli, więc Durkheim nie cytuje ani Malthusa, ani jego poprzedników, Wallace'a, Townsenda i Steuarda, ani nowych socyologów darwinistów, ani Milla, ojca, ani nawet Marxa.

Nie sprawia mu również znacznego kłopotu rozstrzygnięcie drugiej głównej kwestyi: czy należy pożądać podziału pracy w dzisiejszych społeczeństwach Europy zachodniej? Rozwiązuje kwestyę w ten sposób, że należy chcieć tego podziału, bo jest on zarówno moralnym, jak i normalnym. Normalnym dlatego, że jest „powszechnym" i że zależy od „ogólnych warunków życia zbiorowego," czego dowody znaleźć można na kilku pierwszych stronicach książki. Moralnym dlatego, że rodzi solidarność między ludźmi, zaś solidarność posiada wszystkie cechy moralności. Jeśli zaś nauka ekonomii politycznej utrzymuje, że podział pracy społecznej wcale tej solidarności nie sprowadza; jeśli mianowicie dowodzi, że jest to podział produkcyi społecznej na jej rodzaje (jak rolnictwo, przemysł itp.), gatunki, podgatunki, na oddzielnych producentów wreszcie; jeśli utrzymuje, że podział pracy społecznej przeciwstawia wzajemnie sobie wszystkie części jako zaciętych współzawodników, z interesami odrębnymi, sprzecznymi i walczącymi — to nie warto o tem nawet wspominać, co też Durkheim czyni.

Zważywszy wszystko powyższe, niepodobna pojąć, dlaczego Durkheim ma tak licznych przeciwników naukowych. Trzeba chyba mniemać, że jeżeli istotnie, jak zapowiada, przyszła jego praca, którą teraz przygotowuje, o „Samobójstwie," ma swe źródło w jego obecnych poglądach, liczba tych przeciwników powinna się znacznie zmniejszyć.

Alb. Barbanel.

---

*) Bez trudu odnaleźć można w tych wywodach teoryę Kanta: Czyń tak, ażeby każda reguła twego postępowania mogła być prawem powszechnem.

Red.

LITERATURA I SZTUKA.

ROZWÓJ SPOŁECZNY I LITERACKI.

Jednostka w literaturze i sztuce wyraża całą swą istotę i wszechstronnie: uczucie, myśl, fantazyę, wolę. Społeczeństwo nie znosi w czasach spokojnego, zdrowego rozwoju takich jednostek. Ono chce przykuć je do jakiejś specyalności artystycznej, przemysłowej lub naukowej. Daleko łatwiej natomiast jest wystąpić jednostce genialnej w czasach rozkładu społeczno-moralnego. Nie twierdzimy, aby w okresach spokojnych nie było literatury i sztuki, lecz tylko, że kulminacyjne punkty ich rozwoju przypadają zawsze na epoki dyssocyacyi. Historya literatury klasycznej, Renaissance'u i romantyzmu są rażącym dowodem tego prawa, któremu na pierwszy rzut oka zadają kłam tylko architektura gotycka i pyszny rozwój literacki Francyi z XII i XIII w. Postaramy się jednak udowodnić, że i te zjawiska są potwierdzeniem prawa, iż należą do epoki rozkładowej, raczej do zarania Renaissance'u, niż do wieków średnich. Począwszy od środka XI stulecia, miasteczka (les Communes) dobijają się wyzwolenia od zależności względem feodałów, własnej milicyi, własnego sądownictwa, własnego rządu. Połączeni przysięgą (jurande) kupcy i rzemieślnicy nie szczędzili pieniędzy i krwi dla dopięcia celu, znajdując pomoc czynną ze strony króla, który także dążył do złamania samowoli panów. Często mia-

stoczka zdobywały prawa drogą pokojową, za pomocą okupu. Zwykle jednak dochodziło do walki i rozlewu krwi, np. w Mans, Cambrai, Lavn, Sens, Reims, Toulouse itd. Zwłaszcza kościół był przeciwny emancypacyi miast. Wszystkie przeszkody zostały jednak powoli, w ciągu XII i XIII w. obalone. Mieszczanin uwolnił się od przemocy pańskiej i tryumf swój wyraził w architekturze i poezyi. Nowsze badania dowiodły, iż pierwszych zabytków architektury gotyckiej trzeba szukać nie w Niemczech, lecz we Francyi i że powstanie ich jest ściśle związane z ruchem komunalnym.

Oto co pisze w tej sprawie prof. Gebhard: „Kolebką sztuki gotyckiej były: Ile de France, le Vexin, le Valois, le Beauvaisis, część Champagne, basen Oise'y. Na katedrach Noyonu, Laonu, Senlisu, Reimsu, Chalons'u zauważyć się daje przejście od stylu romańskiego do gotyckiego. Żaden wpływ włoski, ani niemiecki nie wchodzi do tego odnowienia, które w ciągu stu lat (począwszy od r. 1150) stanowi charakter wyłączny budownictwa francuskiego. Pierwsi mistrze gotyku w Anglii i Niemczech byli francuzami... We Francyi to architektura religijna przechodzi ruchem prawie niedostrzegalnym, w drodze postępu czysto logicznego, od surowych kościołów romańskich, pełnych mroków i przestrachu, do katedr gotyckich świetlnych i powietrznych, pełnych duszy i dźwięcznych, jak instrument muzyki niebieskiej... Były to dzieła bardziej świeckie, niż mityczne, zbudowane nabożeństwem mas i dumą komun, za pieniądze mieszczan; nie, jak za epoki romańskiej, pod surowem okiem kościoła i natchnieniem bezpośredniem zakonników, lecz przez wolną fantazyę majstrówmularzy, połączonych odtąd w korporacye potężne."

Jednocześnie z tem, jak entuzyazm mas i radość powszechna wznosiły w powietrze te lotne nawy kamienne, poezya uległa, pod tymże wpływem, zmianom analogicznym. Na miejscu czysto średniowiecznych „Chansons de Gestes," pełnych obrazów żałoby, ponurych i poważnych na wzór kantylen religijnych, od których pochodzą, zjawia się feeryczny poemat rycerski i wesołe „Jabliaux." Trubadurowie napełniają południe echem śpiewów miłosnych. Opiewają nie cnoty społeczne i religijne — jak to było jeszcze w literaturze X i XI w., która zajęta była tylko opisem żywotów świętych — lecz czysto osobiste: szlachetność, waleczność i głównie miłość, w „aubadach," „serenadach," „pastourellach." Satyra polityczna wysuwa swe żądło przeciw wielkim świata i przeciw kościołowi w „sirvente'ach." Jest to poezya pełna energii, życia i namiętności, wywołana przez ruch komunalny i wyprawy krzyżowe, które noszą w niej raczej charakter wypraw po złote runo i zdobycz, niż czego innego. One rozszerzyły świat i poezya wielkiem uderzeniem skrzydeł puszcza się ku nowemu pięknu i nieznanym rozkoszom. Jednocześnie z tą „gaia scienzia" wolność myśli czyni na południu Francyi postępy niesłychane. Pod koniec XII w. odsuwa się ona nietylko od kościoła, ale i od chrześciaństwa wogóle. Przenikają tam trzy wielkie prądy niewiary i herezyi: manicheizm, który miał swe gminy w Toulouse, Albi, Carcassone, racyonalizm Vaudeńczyków i averroizm, rozpowszechniany przez Żydów, wypędzonych z Hiszpanii. Szkoła Majmonidesa głęboko nurtowała Provencyę w XII i XIII w.

Tak się działo na południu Francyi; na północy spostrzedz można ruch analogiczny. Tylko że tu na miejscu liryki kwitnie poezya epiczna, nosząca zresztą także charakter żywotny i świecki. Jest ona jednak daleko głębsza, gdyż związana z legendami przeszłości germańskiej i keltyckiej; geniusz tej poezyi jest bardziej złożony, gdyż zawiera czynniki wzruszenia i marzeń. Tu kwitnie pieśń o Rolandzie i cykl bretoński romansów „Okrągłego Stołu." Miłość przybiera charakter nie zmysłowy, jak na południu, lecz mistyczny, a kult kobiety wyraża się w czystości bez skazy rycerza. Wieczna skarga morza bretońskiego i szum lasów druidycznych znajdują odgłos w marzeniach melancholijnych tej poezyi. Natura drga czułością ku cierpieniom ludzkim. Głos macierzyński fei łączy się z szumem dębów, z westchnieniem strumyków, z zapachem róż dzikich. Głęboka natura mieszkańców Północy, złożona z czynników germańskich i keltyckich, znajduje wyraz w tej poezyi. Ale i ona wystąpić mogła w całej swej pełni i przepychu tylko dzięki charakterowi rozkładowemu epoki, dzięki krucyatom, które wprawiły w zamęt cały Zachód i dzięki ruchowi komunalnemu. Ta poezya, również jak i architektura gotycka, z którą jest tak spokrewniona duchem, towarzyszy walkom ludu z feodalizmem. Jeżeli ona ucieka często od szumu życia w sfery wyższe, to poleca walkę codzienną, praktyczną, swej siostrze, satyrze. Gdy mieszczanin złamał potęgę feodałów i otoczył się mocnymi murami, zaczął się oddawać rozkoszy ośmiewania poniżonych przeciwników. Oto w XII i XIII w. pojawia się cały szereg arogantckich parodyj feodalizmu, np. „Le Roman du Renart" z całym orszakiem zwierząt, których maski pozwalają dostrzedz twarze ludzkie. Lud śmieje się do rozpuku z głupstw Lwa (szlachcica) i Osła (księdza); a co za radość, gdy Lis (mieszczanin) chwyta w swe sidła te wielkie i święte osoby!

Satyra ta jest wesoła a nie gorzka, raczej dobroduszna i służy za punkt wyjścia dla poematu heroi-komicznego. Nareszcie czem był averroizm dla południa Francyi, tem dla północy była filozofia Abélarda i Alberta Wielkiego. Pierwszy zakłada w XII w. początki racyonalizmu Descartesa i krytyki Kanta, drugi walczy przeciw metafizyce i mistycyzmowi, dowodząc, iż nauka powinna się zajmować badaniem rzeczy istniejących, a nie substancyj samych w sobie.

L. W.
(D. n.). *Dr. ès lettres.*

LITERATURA POLSKA

Jan Kazimierz Zieliński, *Wspomnienia starego kawalera*, Lwów, księgarnia Altenberga, 1896, str. 288.

Piękno, tak samo jak prawda i dobro, ma swe zagadnienia ciężkie, nasuwa wątpliwości dotkliwe i nieraz upokarzające. Co pocznie bezwarunkowy wyznawca zasady „sztuka dla sztuki" — teoretycznie jedynie słusznej, dającej się konsekwentnie przeprowadzić, ilekroć mu postawi kto pytanie: oto jest treść niezaprzeczenie obrzydliwa, w formie niewątpliwie powabnej, jakże się teraz obrócić z ostatniem słowem oceny, którem jest rozpowszechnienie bezwzględne, niebaczące ani na płeć, ani na wiek, ani na okoliczności etyczne? — Pospolicie uciekamy się w takich razach do rozmaitych *ale*, do rezonowanych zastrzeżeń i wybiegów, którym jedynie nazwy przeniewierstwa skąpimy. Właściwiej byłoby może zaprzeczyć możliwości tego rodzaju kontrastów. Treść nie jest tem, co glina w posągu lub marmur w gmachu architektonicznym; kojarzy się ona i zlewa z formą ściślej nieskończenie, a tak dalece od niej zależy, że wyklucza ewentualność ożenku brzydkiego przedmiotu z pięknością jego wyrazu...

Cokolwiekbądź, ze *Wspomnieniami* p. Jana Kazimierza Zielińskiego przybywa piśmiennictwu polskiemu książka o zawartości nader drażliwej, oszpecona (szczególnie pod koniec) widoczkami najgrubszego zmysłowego pornografizmu, a jednak napisana dziarsko, wytwornie, z dobrym nakładem efektownych zasobów nowoczesnego kunsztu powieściopisarskiego. W przedmowie autor zapewnia, że notatki starego kawalera dostały się mu w ręce przypadkiem, że w nich pozmieniał nazwiska, niejedno wykreślił i materyał uporządkował. Materyał ten wydał się mu „niezwykłym," nacechowanym szczerością osobistych wyznań pamiętnikarza, którą to szczerość p. Zieliński niesłusznie ozdobił mianem „prawdy." Dla usprawiedliwienia dopełnionej w ten sposób korekty dodano: „Gdzieś, daleko na szerokim świecie, żyje jeszcze osoba, która *główną* rolę odegrała w tem opowiadaniu; nie wątpię jednak, że wobec zmian uskutecznionych przebaczy mi niedyskrecyę, którą wydaniem pamiętnika popełniłem."

Ową osobą o roli głównej jest najniechybniej kobieta. Z mężczyznami ceremonia byłaby zbyteczną: należy to poniekąd do dobrego tonu, ilekroć osobnik płci mocnej może sobie złożyć mniej więcej wiarogodne świadectwo „cnoty" — według łacińskiej etymologii wyrazu. Przykazanie odwrotne obowiązywać ma jedynie płeć słabą. We *Wspomnieniach* mamy trzy okazy drugiego tego aforyzmu: bezczelnie obłudny, naiwnie bezecny i lubieżnie skarykaturowany. Nowicyat starego kawalera schodzi dość marnie i niefortunnie na obcowaniu, najpierw z pół-Włoszką w Wenecyi (Elwirą Otoczańską z domu), następnie z podrostkiem wiejskim u siebie, w majątku obywatelskim, we dworze galicyjskim. Zwyrodniona zamążpójściem z woli rodziców za zgrzybiałego cudzoziemca, rodaczka, rzucając się na szyję podróżującemu, świetnie jak się zdaje zamarynowanemu współziomkowi, woła do niego: „Masz mnie, bierz, oddaję ci się bezwarunkowo i na zawsze, ale... uwolnij mię wpierw od tamtego... Dziwisz się, nie rozumiesz, o co mi chodzi?.. O, bo nie znasz serca kobiety, nie zgłębiłeś jeszcze wszystkich jego tajników i skrytek... A więc, tak, wiarołomstwem się brzydzę; kłamstwa, fałszu, podłości nie znoszę. Przysięgi złożonej *mu* przed ołtarzem nie złamię. Ale tak dłużej żyć nie mogę; dla miłości, dla złączenia się z ukochanym nic mię nie powstrzyma, — nic, nawet *zbrodnia!..*" Szlachcic na zbrodnię zdecydować się nie mógł i narazie wrócił do swojej Tarniówki z niczem... Na razie, bo „gratka" z panią Elwirą nie ominęła go następnie, kiedy nareszcie, po wielu próbach, otworzyły się upusty wstrzemięźliwości. Nie nastąpiło to jednak prędko. Asketa przebyć wprzód musiał drugie zrzędu doświadczenie chybione — i dziw, doprawdy że chybione, tak dalece było ono swojskie, ojczyste, tak do szpiku kości polskie...

„Tarniówka, 22 grudnia Dziś zrana o 7-ej leżałem jeszcze w łóżku. Miłą miałem niespodziankę. Dzwonię — w tem, zamiast safanduły Jacentego, który mi zawsze kawę do łóżka przynosił, wchodzi Hania, pachnąca, wyświeżona, po wiejsku ubrana — prześliczna..." Hania była córką klucznicy dziedzica Tarniówki, Godziejewskiej, zgromionej dnia poprzedniego za to, że swą dziewczynę zamyka na noc w komorze ciasnej, brudnej, zamiast otworzyć dla niej salonik różowy w pokojach gościnnych, gdzie jest „i łóżko wygodne i meble porządne, a okna wychodzą na sad, który dziewczę tak bardzo lubi." „Hania jest rzeczywiście prześliczną — czytamy w pamiętniku z dnia tegoż. Blondynka, ale tak jasna, że drugiej takiej w życiu nie widziałem. Włosy prawie białe — a cera!.. krew z mlekiem. Usteczka małe, czerwone, ząbki jak u myszy, oczy niewielkie, jasne, w równiutkiej

oprawie, głęboko osadzone, nosek mały, prosty, zgrabny... i pieprzyk na lewym policzku... Ach te włosy!.. były splecione, warkocz zakończony wstążeczką kolorową, od niechcenia na plecy spuszczony. Koszulka biała, przezroczysta, haftowana jedwabiem... gorsecik, sukienka... na głowie złote lamowe czółenko, przystrojone w mnóstwo wstążek, na szyi kilka sznurków korali — a przytem małe, zgrabniutkie nóżki, odziane w buciki na wysokich korkach...“ Przy pościeli dziedzica — dyalog. — „Usiądź-no, Haniu, i powiedz mi ile masz lat?“ — „Piętnaście...“ — „Hm, piętnaście, myślałem, że więcej. Ba, to Hania jeszcze dziecko...“ Obraziła się widocznie, bo odparła żywo: — „O, wcale nie!..“ Usiadła przy mnie, przy łóżku, na krześle. Wziąłem ją za ręce. Nie cofnęła jej. — „A cóż Hania robi?.. Pewno nic nie pracuje, bo rączka mała, biała, wypieszczona, a paluszki różowe...“ — „Podoba się panu?..“ I parsknęła śmiechem, a rączki wcale nie wyrwała, pomimo, że do ust ją przycisnąłem... — Ale i tym także jeszcze razem — nic z tego! Godziejewska *za darmo* otrzymawszy kilka gratyfikacyj, wywiozła córkę z Tarniówki. Spotkał dziewkę nasz pamiętnikarz w czas jakiś później na miejskim chodniku i ledwie poznał: woalka, paltocik z barankowym kołnierzem, papuzięty kapelusz... — „Powodzi się mi doskonale — mówiła. Bawię się, chodzę z *ciocią* na spacer, a jak mi, padam panu, ludziska nadskakują! A co tu, padam panu, chłopców jak malowanych... I wie pan? — wkrótce wyjdę za mąż...“ — „Czy tak?.. A za kogo?“—„Bardzo porządny człowiek, ma realność na przedmieściu, rzeźnik stateczny, lat około 50-ciu...“ I spojrzała mu w oczy z tym uśmiechem filuternym i dzikim, który zdawał się być wyrzutem zuchwałym: „Gdybyś był chciał, mazgaju, tobym już dziś była za plenipotentem księcia Windischgraetza, a przynajmniej za jakim generał-porucznikiem jego cesarsko-królewskiej mości...“

Egzemplarz trzeci i rozstrzygający. W sąsiedniej wiosce Opornej żyje ojciec Elwiry-Włoszki, Otocki, obywatel ziemski gębą całą, bo przejadł i przepił majątek krociowy, kupno zaś resztek — wraz z ręką, a nie — to z sercem rezydującej u niego kuzynki-sieroty, ofiaruje obecnie kochanemu sąsiadowi z Tarniówki. Sąsiad długo się wzdraga i żacha, rzuca Otockiemu w żywe oczy słówka w rodzaju: „szelmą jesteś,“ zagląda niekiedy w smutne, lecz ostro patrzące źrenice panny Maryi — i ostatecznie ucieka, to do zawiedzionej przeszłości w Elwirze, to do odroczonej przyszłości w Hani. Szczególne bo też Marynia żywi uroszczenia, oryginalne głosi doktryny. Streścić te jej wymagania, dotyczące zobopólnej zacności w przystępujących do sakramentu małżeństwa — rzecz nieskończenie trudna. Użyjemy pośrednictwa p. Alfreda. Kocha się on podobno w Maryni na zabój, a jest: kandydatom na profesora filozofii, łobuzem zrujnowanym od pięt do paznokci, hunwotem ostatniej próby, ale dekadentem otwartym i lojalnym, — miotełką frazeologii fizyko-psychologicznej tak zużytej, że gdyby się kiedy dostała do rąk p. Jeske-Choinskiego, wiedza, gnój i cywilizacya byłyby wymiecione do wieku XXI-o wiązcznie. Pan Alfred gorąco protéguje zamążpójście Maryni i Opornej za Tarniówkę. A oto są jego racye. Pewnego dnia, siedząc u naszego pamiętnikarza na łaskawym chlebie i wykładając mu swój pogląd na świat i na kobiety, p. Alfred wyrwał się z wyjątkiem: dla Maryni. Posądzony doraźnie, że ją ubóstwia, obrzucił posądzającego wzrokiem zdumionym.

— Co? Marynię? — pannę Otocką? Ja? Mój drogi, sam nie wierzysz w to, co powiedziałeś. Znasz mię przecie nie od dziś. Ja nie wierzę w to, że miłość beznadziejna trwa najdłużej; kocham się wówczas, gdy jestem z góry przekonany o rezultacie. To rzecz dla mnie fizyologiczna. Żenić się nie myślę, więc pocóżbym się kochał w *pannie* Maryi?

Mówił to spokojnie, poważnie, rozbujany na fotelu.

— Lubię ją bardzo — ciągnął dalej — chociaż jej teorye na punkcie związków... *małżeńskich* są dzikie... Bo przyznasz, że kobieta, która doszedłszy do lat 32 (sama mi wiek swój wyznała, więc musi to być rachunek ścisły), kobieta zatem, która w tym wieku twierdzi, iż dlatego nie poszła i nie pójdzie za mąż, ponieważ pragnie, ażeby mąż wniósł do stadła to samo, co i ona jako *virgo intacta* — (a niewielu jest takich, więc też nikogo dotąd nie znalazła), przyznasz zatem, że kobieta taka studzi wszelkie żywsze uczucia... Gdyby nie te teorye...“ — „Ożeniłbyś się?“ — „To, nie — ale...“ Zatrzymał się na fotelu i wlepił wzrok we współbiesiadnika. Oczy za niego mówiły: „Wydałbym ją za ciebie...“

Nie Alfred wszakże, lecz Otocki wydał Marynię — a raczej wydały ją za właściciela Tarniówki licytacya Opornej i perspektywa dla ubogiej panny — ujrzenia się na bruku. Dla utrzymania zaś zasady *równouprawnienia cnót* w pełni niepogwałcalnej na osobie Maryni, stanęła ugoda, wyrażona w formalnej przedślubnej zgodzie przyszłego tytularnego męża na następujące wymowne słowa listu narzeczonej: „Przekonania moje, dobrze panu znane, sprawiły, że byłeś dla mnie zawsze wstrętny, jak jest nim dla mnie każdy młody człowiek, mający podobną twojej przeszłość za sobą... Odpowiedzialność za wszelkie nieszczęścia strasznego i obydnego tego związku bierzesz pan wyłącznie dla siebie. Ja ani mową, ani myślą, ani postanowieniem, ani czuciem, ani sercem, ani duszą, ani ciałem należeć do pana nie będę...“ Zawiązanie dramatu — przyznajmy — mocne i postawione świetnie, świetnie w znaczeniu słów znanego estetyka francuskiego Cherbuliez: „Dzieło sztuki, z któregoby traf niezwykły wygnany został, nie przypominałoby życia, wydawałoby się martwem, gdyż wszystko, co żyje, nosi na sobie znamię przypadkowości“ (*L'art et la nature*, 1892, str. 199). Rozwinięcie dramatyczne, jakkolwiek od początku oparskane nieco i zabłocone sarkazmem z *urojenia* uczciwej dziewczyny — również zasługuje raz jeszcze na stwierdzenie niezaprzeczonej pisarskiej zdolności pamiętnikarza (nazywał się podobno Korab'). Męczarnia fałszywej i z wielu względów kompromitującej a niebezpiecznej sytuacyi, ustopniowana należycie. Zjawia się nagle w Tarniówce Elwira i od Korabia nie wymaga już wcale popełnienia skrytobójstwa... Rozpływa się nowicyat Korabia, który się przeświadcza po wydłużonej cokolwiek nad potrzebę nauce, że pływał na strudze ladajakiej, że Elwira z Otockich niezbyt daleko odbiegła od swego ojca „szelmy.“ Tem wyżej w opinii nominalnego męża, w ponętach jego stanowiska uświęconego, bądź co bądź, przez kościół i przez prawa krajowe — urósł szkopuł „szczęścia domowego.“ Marynia nieubłaganie trwała w morderczym dla siebie uporze. O tę skałę rozbiła się nietylko mała filozofia Alfreda, ale też i bardzo wielka jego przebiegłość dyplomatyczna: palnę sobie w łeb na finał. Kilka zręcznie odmalowanych obrazków pożycia pod wspólnym dachem dwu istot, nieszczęśliwych dlatego jedynie, że nierozumiejących się i nieroztropnych, zawczasu domyśleć się pozwala rozwiązania... Ale aż do ostatnich kartek dobry smak czytelnika, lubo tu i owdzie poprzednio zadraśnięty, każe przewidywać, że w epilogu będziemy mieli ładną jakąś humoreskę, mniejsza o to, czy w stylu Maupassanta, Paula de Coś, czy też Arsena Houssaye — w każdym razie humoreskę *post festum*, u kominka, przy filiżance herbaty, wśród zadumanych cieni wiejskiego wieczora... Ale samego festu w dzień biały, w roztoczeniu brutalnego, mękkiego gwałtu, kończącego się na okrzyku kobiety: Janie! *vicisti!* kocham cię! — tego nie oczekiwaliśmy. Autor pokpił sprawę, po mistrzowsku w wielu przejściach prowadzoną. Zamiast ukazać zarumienione ludzkie oblicza — przypiął czerwoną łatkę *czworonożnemu* zwierzęciu. I przypiął ją niedołężnie, głupio. W sztuce wszystko uchodzi—oprócz nadużycia miary i harmonii; w życiu wszystko wolno — oprócz poniewierki sprawiedliwości i prawdy — czy one w górę się wznoszą jak rozgorzałe słońce, czy się pochylają jak zwiędła i złamana trawka. Umyślnie odwracać się od tych pewników, brawurą względem nich nadrabiać — zwie się to... Już powiedzieliśmy.

J. T. Hodi.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WYDAWNICTWA ZESZYTOWE. *Encyklopedyi rolniczej* wyszedł z. 42 (Mleko).

— Księgarnia Paprockiego ukończyła (zeszytem 14) *Obraz literatury powszechnej* w streszczeniach i przekładach P. Chmielowskiego i B. Grabowskiego

— *Hellady i Romy* Guhla i Konera wyszły zeszyty 9 i 10.

— *Encyklopedyi wiadomości pożytecznych* wyszedł zeszyt 12.

POWIEŚCI. Kl. Junosza, *Na bruku*, z życia miejskiego (str. 185), S. Sadowski.

— W. hr. Łoś, *Odrębna istota*, powieść współczesna (str. 377).

— Józefat Nowiński *Świekra*; jest to pięć nowel (oprócz tytułowej, Wróbel, Przeszłość, Podwojne bractwo i Współlokator — str. 287) Dubowski i Gajewski.

— A. G. Wysocki *Namiętność*; jest to sześć nowel (oprócz tytułowej, Do śmierci, Dzień św. Mikołaja, Dobre czasy, Pan Onufry i Pan Telesfor — str. 209).

— K. Laskowski, *Kosztowni dobrodzieje* — sylwetki z bruku (str. 79), Dubowski i Gajewski.

— Księgarnia polska we Lwowie rozpoczęła zeszytowe wydawnictwo tanie dzieł Aleksandra Fredry, z uwagami krytycznemi d-ra Biegeleisena.

— W. Kosiakiewicz *Piama*, powieść (str. 220), Gebethner i Wolff.

— Ramestan *Palec boży*, powieść (str. 158), Dubowski i Gajewski.

— Napoleon Rouba *Stryjowa spuścizna*, powieść współczesna (str. 359).

— K. Tetmajer *Wybór poezyj* (str 321), Gebethner i Wolff.

NAUKI. Paweł Bert *Pierwsze wiadomości z geometryi doświadczalnej* w zastosowaniu do mierzenia odcinków, powierzchni i objętości z 141 drzeworytami, spolszczył S. Srebrny (str. 125, kop. 90), T. Paprocki Bardzo pożyteczna książka.

— H. Wernic, *Arytmetyka* (str. 58, cena 20 kop.), S. Bukowiecki.

SZTUKI. Zakład fotograficzny E. Troczewskiego wydał *Album Warszawy*, zbiór kilkudziesięciu widoków, wybranych umiejętnie i wykonanych ładnie (cena rs. 2 kop. 50).

HISTORYA. Michał Rolle, *Z przeszłości*, okrąg Rowski, starostwo Barskie do r. 1774 (str. 232).

FILOZOFIA. Dr. Z. Daszyńska, *Nietsche-Zarathustra* (str. 133).

KALENDARZE. P. A. Strzelecki wydał swój zwykły *Kalendarz rolniczy* w dwu książeczkach.

POLEMIKA. P. Jerzy Moszyński w osobnej broszurze wydał *Odpowiedź* na korespondencyę z Krakowa, zamieszczoną w *Kraju* i dotyczącą jego działalności.

KALENDARZE. *Kalendarz powszechny* T. Paprockiego.

W DALI.



Łódź. Miejscowa straż ochotnicza będzie zwiększona o dwa oddziały. Jeden powstanie na przedmieściu Bałutach, drugi w dzielnicy fabrycznej. Tym sposobem wszystkich oddziałów będzie sześć. Roczny koszt utrzymania całkowitej organizacyi wraz z zakupem narzędzi dla dwu nowych oddziałów wyniesie najmniej 35,000 rs. Straż łódzka jako ochotnicza, złożona z ludzi, którzy w obronie mienia przeważnie kapitalistów narażają swoje zdrowie, zasługuje na wielkie uznanie i, zdawałoby się, że powinna zaskarbić wdzięczność tych, którym pożytek przynosi. Tymczasem — jak pisze korespondent *Kuryera Warsz.* —członkowie, poświęcający się bezinteresownemu inkasowaniu składek dobrowolnych na rzecz straży od obywateli i fabrykantów, narażani są częstokroć na „nieparlamentarne" zachowanie się ich, „nielicujące niekiedy z najelementarniejszemi zasadami wychowania." „Panowie ci nie mogą widocznie zrozumieć, że gdyby istniała straż miejska, to wówczas koszty utrzymania jej, w formie podatku obowiązującego, wyniosłyby trzy razy tyle, ile wynoszą obecne składki dobrowolne." Łódź posiada kilkaset fabryk i kilka tysięcy domów, a więc właściciele ich mogliby wybornie zapewnić utrzymanie i rozwój straży, nawet przy składkach stosunkowo niewielkich. — Według danych statystycznych urzędowych, za rok 1895-ty Łódź liczyła 349 fabryk, których roczna produkcya wyniosła rs. 67,917,200, personel zaś 40,054 robotników. Pierwsze miejsce zajmują tkalnie wełny (97), przędzalnie wełny (54), połączone tkalnie i przędzalnie (48), fabryki tkackie bawełny 26, farbiarnie 25, apretury 14, fabryki przędzalni bawełny 10, fabryki pończoszniczе 9, tkalnie jedwabiu 8. Dalej następują fabryki powroźnicze 3, papiernie i fabr. pudełek 2, fabr. mebli żelaznych 1, guzików 1, farb 4, wyrobów chemicznych 2, fabr. elektrotechniczna, fabr. kamieni młyńskich itd. W Zgierzu było w 1895-ym r. 40 rozmaitych fabryk, których produkcya wyniosła rs. 3,824,100, z 3,309 robotników: w Pabjanicach zaś 9, z produkcyą rs. 4,515,600 przy ogólnej liczbie robotników 4,127.

Włocławek. Drugi rok już istnieje trzyklasowa szkoła miejska. Liczy ona obecnie 142 uczniów. W dziale pierwszym wykładane jest stolarstwo od 4-ej do 6-ej po południu, nadto — przedmioty następujące: religia, język rosyjski, polski, niemiecki, arytmetyka, geometrya, geografia i historya Rosyi. Całkowity kurs szkoły rozłożony jest na lat sześć. Mieszkańcy narzekają na brak szkoły freblowskiej. Istotnie jest dziwnem, że w mieście, liczącem tyle mieszkańców co i Radom (23,000), nie osiadła dotąd jeszcze żadna specyalistka z tego zakresu, pomimo, że Warszawa wydała ich znaczną liczbę. — Inteligencya miejscowa czyni zabiegi o zatwierdzenie kasy przemysłowców.

Wilno. *Now. Wr.* zamieszcza następującą korespondencyę z Wilna: „Powiadają, że przybyły tu pełnomocnik dla ujednostajnienia spraw spisu ludności, rz. r. st. Bok, jest wielce niezadowolony z zachowania się wobec tej sprawy miejscowego zarządu miejskiego, który dotychczas nic prawie nie zrobił, aby zapewnić powodzenie spisu w tak dużem mieście. W Wilnie bowiem policya niedawno naliczyła 163,000 mieszkańców, zamiast kalendarzowych 127,000, a w rzeczywistości liczy ono zapewne około 200,000. Okazało się, że miasto nie miało należytego planu, a sporządzony do celów podatkowych nie obejmował przedmieści." Obecnie polecono sporządzenie nowego, to jednak wymaga dłuższego czasu, skutkiem czego spis w Wilnie może się stać w oznaczonym terminie niemożliwym."

Mińsk. Stowarzyszenie kapitalistów francuskich z kapitałem 7.000,000 franków otwiera w roku przyszłym przędzalnię. Da ona pracę 5,000 robotnikom. Budowa gmachów fabrycznych w pobliżu dworca brzeskiego wkrótce ma się rozpocząć. — *Now. Wr.* poruszyło ważną kwestyę, dotyczącą warunków miejscowych. Dn. 19 października otwarto w Mińsku Towarzystwo kredytowe miejskie. Ma ono to szczególne znaczenie — pisze gazeta powyższa — że jeden z paragrafów jego ustawy pozwala przyjmować na zastaw budynki, wzniesione na gruntach wieczysto - czynszowych. Znaczna część domów w Mińsku powstała właśnie na gruntach czynszowych, będących już to własnością domu arcbibierejskiego, już to miasta; tego rodzaju nieruchomości nie przyjmowała w zastaw żadna instytucya kredytowa. Czynsz, czyli innemi słowy wieczysta dzierżawa istnieje tylko w miastach kraju Północno-Zachodniego i w guberniach polskich: w myśl prawa czynszowego posiadacz gruntu uchodzi wprawdzie za jego właściciela, nie wolno mu jednak ani podnieść czynszu, ani wymówić dzierżawy osobie, która odziedziczyła prawa do wieczystej dzierżawy, a z drugiej strony dzierżawca gruntu na prawach czynszowych nie może go ani sprzedać, ani zastawić. Mińskie Towarzystwo kredytowe będzie przyjmowało na zastaw tylko budynki, wzniesione na gruntach czynszowych, domy zaś, wzniesione na gruntach wydzierżawionych, choćby mocą kontraktów długoterminowych, z pożyczek nie będą korzystać.

Żytomierz. Ziemianie okoliczni zajęci są wykazywaniem rządowi swych praw propinacyjnych. Nie wszyscy wszakże posiadają dokumenty odpowiednie, ztąd wielu nie może swych praw udowodnić. — Budowę wodociągów miejskich znacznie przyśpieszono. Ułożono już znaczną część rur i wogóle ukończono roboty najtrudniejsze. — Ludność jest zaniepokojona przypuszczeniem, że skutkiem otwarcia kolei żelaznej ceny mieszkań w Żytomierzu pójdą w górę. Obecnie komorne przeciętnie wynosi 150 rs. rocznie za 3—4 pokoje.

Kijów. Na ostatnim zjeździe cukrowników w Kijowie wybrano komisyę, której zadaniem będzie opracowanie projektu i ustawy specyalnego komitetu przedstawicieli — cukrowników. Do komisyi tej, złożonej z 12-tu członków, zaproszono czterech nowych: A. Bobrińskiego, J. Charytonienkę, N. Bałaszowa i J. Natansona z Warszawy. — Według doniesień dziennikarskich, sprawa budowy kolei z Petersburga do Kijowa jest bliską urzeczywistnienia. Roboty rozpoczną się na wiosnę.

Petersburg. Publicysta Batalin otrzymał koncesyę na wydawanie bez cenzury dziennika p. t. *Utro*. — *Peterb. Wied.* utrzymują, iż postanowiono znacznie powiększyć liczbę szkół cerkiewno-parafialnych w krajach Północno i Południowo-Zachodnim. — Wkrótce będą wypuszczone nowe bilety pięciorublowe. — Otwarto w Petersburgu dom zarobkowy katolickiego Towarzystwa dobroczynności. — *Torg. Prom. Gaz.* porównywając ceny przewozu do Indyj Wschodnich zboża rosyjskiego i kalifornijskiego, przychodzi do wniosku, że pszenica rosyjska jest na rynkach indyjskich tańsza, niż amerykańska. Obecny głód prawdopodobnie przyczyni się do wzrostu wywozu. — Ks. Meszczerskiemu pozwolono wznowić wydawnictwo *Graždanina*. — Nowe gazety *Łucz* i *Głasnost'* zaczną wkrótce wychodzić. — Dn. 5 lutego odbędzie się zjazd hydrotechników w Petersburgu.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W celu wzmocnienia żywiołu rosyjskiego w kraju Północno-Zachodnim, postanowiono dawać pożyczki z sum Banku włościańskiego mieszczanom prawosławnym. (*Pet Listok*).

— Na posiedzeniu wydziału przytułku dla rzemieślników i robotników fabrycznych (Tow. dobr.) naradzano się nad sposobami zwiększenia funduszów. Między innemi zaproponowano: ażeby urzędy starszych zgromadzeń rzemieślniczych tytułem ofiary dobrowolnej pobierały: 1) od każdego ucznia zapisywanego do zgromadzenia, kop 20; 2) od każdego czeladnika wypisującego się kop. 50; 3) od wypisywanego na majstra rs. 3: aby urzędy starszych zgromadzeń zechciały skłonić majstrów do wnoszenia przez pośrednictwo tych urzędów dobrowolnej składki po rs. 1 rocznie. Dalej proponowano, ażeby zarząd przytułku wprost od siebie zwrócił się do osób, utrzymujących zakłady rzemieślnicze a nienależących do zgromadzeń, z prośbą o zasilenie funduszów składkami stałemi rocznemi, wysokości dowolnej. P. Karol Szlenkier złożył 3,000 rs. na rzecz przytułku i 350 rs. procentu od tej sumy, nadto zobowiązał się płacić po 100 rs. na utrzymanie przytułku. P. Felicyan Jankowski złożył rs. 100, p. Gustaw Ulrich rs. 15.

— W Indyach panuje głód. W Bombaju tłum rzucił się na magazyny zbożowe. Policya dała ognia i zabiła czterech ludzi, a sześciu raniła.

Szkoły. Stowarzyszenie subjektów handlowych wyznania mojżeszowego wprowadziło zbiorowe wykłady buchhalteryi dla swych członków.

— Rady uniwersyteckie roztrząsają obecnie projekt ministeryum oświaty, dotyczący utworzenia we wszystkich uniwersytetach katedr: agronomii, gleboznawstwa, bakteryologii w związku z rolnictwem i t. d.

— W gmachu gimnazyum III w Warszawie otwarto kursy rysunkowe dla terminatorów rzemieślniczych i robotników.

— Odesa stara się o instytut technologiczny i przeznacza na ten cel ze swoich funduszów 200 tys. rs.

Badania meteorologiczne. Postanowiono puścić w nocy z d. 13 na 14 b. m. balony z Petersburga Strasburga, Berlina i Paryża w celach meteorologicznych. Będą one bez aeronautów, zaopatrzone tylko w przyrządy automatyczne i samopiszące do notowania temperatury, wilgoci powietrza, kierunku prądów itd. Balony dotrą zapewne do tych warstw atmosfery, dokąd z powodu niskiej temperatury i rozrzedzonego powietrza niemożliwe jest wzniesienie się człowieka. Ponieważ mogą one spaść daleko, śród mieszkańców mało lub wcale nieoświeconych, przedsięwzięto więc środki, dające rękojmię ocalenia przynajmniej instrumentów meteorologicznych. Mianowicie park aeronautyczny w Petersburgu przeznacza za znalezienie i dostarczenie balonu 50 rs. nagrody. Nie wiemy jednak, czy te środki zapobiegawcze przedsięwzięto powszechnie. Szkoda, że w takich razach niema międzynarodowego porozumienia wszystkich stacyj meteorologicznych, za których pośrednictwem łatwiej byłoby przygotować ludność, szczególnie włościańską i uprosić ją o zachowanie balonu wraz z narzędziami.

Wystawy i zjazdy. Na wiosnę r. p. urządzona będzie w Warszawie wystawa introligatorska, która obejmie następujące działy: 1) statystyka; 2) literatura krajowa i obca (podręczniki, czasopisma, reprodukcye opraw); 3) zbiór historyczny dawnych opraw, głównie krajowych: 4) maszyny i narzędzia introligatorskie; 5) próby doskonałych materyałów krajowych i zagranicznych (papier, skóry, cerata, płótno, złoto); 6) wzorowe okazy wyrobów introligatorskich; 7) wzorowe oprawy ze zbiorów prywatnych; 8) zbiór nadesłanych z zagranicy wzorowych wyrobów ze wszystkich działów introligatorstwa; 9) zbiór opraw, przygotowanych na konkursy specyalne (oprawy modlitewników, książek szkolnych, bibliotecznych, handlowych); 10) introligatorstwo galanteryjne; 11) księgi handlowe i inne przedmioty biurowe introligatorskie. Przewodniczącym wystawy jest p. S. Dickstein, sekretarzem p. Z. Wolski. Delegacya, zawiązana w tej sprawie, poruszyła myśl założenia wzorowego warsztatu introligatorskiego, nadto zaprojektowano wydawnictwo pierwszego polskiego „Podręcznika dla introligatorów."

— W kwietniu urządzona będzie w Warszawie wystawa drukarska.

Posiedzenia. Oprócz odczytu Adolfa Suligowskiego na poniedziałkowem posiedzeniu sekcyi rolnej poruszono sprawę zjazdu młynarskiego, który zwołany będzie w Petersburgu 7 grudnia r. b. P. Jentys zachęcał ziemian do udziału w tym wiecu, zwłaszcza że młynarstwo w Królestwie Polskiem ściśle jest związane z rolnictwem. Według danych p. Bekermana, w Królestwie istnieje 10,000 młynów, ubezpieczonych na sumę ogólną 50 milionów rs. Są one przeważnie własnością rolników. Ponieważ młynarstwo nasze nie tworzy samodzielnego okręgu, pożądanem więc jest, ażeby na przyszłym zjeździe miało „odpowiednią reprezentacyę i właściwych rzeczników." Skutkiem tego, że nie miało ono poprzednio owych rzeczników, a raczej miało takich, którzy pod pozorem interesu ogólnego kuli własny w cichości ducha, więc też młynarstwo nasze nie wyjednało sobie samodzielnego okręgu. Należy obecnie błąd naprawić choć w części, skorzystać z tego, że będzie stworzona Rada młynarska, jako instytucya stała i wyjednać w niej właściwe stanowisko dla naszych przedstawicieli. Przewodniczący sekcyi, p. Kowalski, podał dwa bardzo ważne wnioski: ustano-

wienia konkursów gospodarstw nasiennych i wprowadzenia ksiąg stadnych w celu podniesienia hodowli inwentarza.

— Na posiedzeniu sekcyi handlowej roztrząsano wyniki obrad zjazdu przemysłowego w Niższym Nowogrodzie. Sprawozdawcą był Adolf Suligowski, przedstawiciel zjazdu.

— Na posiedzeniu sekcyi technicznej dr. Brunner wygłosił bardzo zajmujący odczyt o promieniach Roentgena i najnowszem ich zastosowaniu.

Odczyty. W sali Muzeum przemysłu i rolnictwa rozpoczął je p. Wojciech Gerson. W trzech wykładach scharakteryzował stroje pod względem historycznym. Zaczynając od czasów najdawniejszych, zrobił przegląd szczegółowy ubiorów i ich zmian do epoki najnowszej. Odczyt ilustrowały obrazy nikłące.

Teatr. Najbliższą nowością w teatrze Rozmaitości będzie krotochwila Bluma i Toche p. t. „Paryż pod koniec wieku."

— W teatrze Wielkim wystawiono dramat Korzeniowskiego p. t. „Umarli i żywi."

Zdrowie publiczne. Dyżury nocne lekarzy w dwu aptekach warszawskich: Karpińskiego i Jarnuszkiewicza po przerwie wakacyjnej wznowiono i rozszerzono. Powiększono mianowicie liczbę czuwających chirurgów. Wogóle obecnie liczba lekarzy dyżurujących dochodzi do 15-tu

— Miasto Bombaj ogłoszono jako nawiedzone przez dżumę.

Katastrofy kolejowe. D. 10 b. m. o godz. 3 po południu pociąg pocztowy kolei Warszawsko-Petersburskiej, idący do Warszawy, pomiędzy stacyami Sokółką i Kuźnicą zetknął się w biegu z towarowym i uległ zupełnemu zdruzgotaniu. Ofiarą katastrofy padło około 40 osób, z których 8 straciło życie. Jeden maszynista ma lewą rękę złamaną, drugi obie nogi; jeden pomocnik poparzony, drugi zabity. Katastrofę wywołało puszczenie pociągu towarowego przez zawiadowcę stacyi Sokółka, który sądził, iż linia skutkiem spóźnienia pociągu pocztowego, jest wolną. Nazajutrz, tj. d 11 b. przed południem, pociąg kuryerski, idący z Kijowa do Odesy, pod stacyą Kazanką (koło Chwastowa) wpadł na towarowy, który prawie całkowicie uległ rozbiciu. W kuryerskim uszkodzone są dwa wagony. Pasażerowie wyszli cało; maszynista poraniony. Podróżnych przesadzono do innego pociągu, który szczęśliwie przyszedł do Odesy.

Zapis. Zmarły w Szydłowcu Antoni Błażewicz, obywatel ziemski, zapisał część swego majątku na stypendya dla uczniów.

Zmarli. Hugo Gilden, w Sztokholmie, znany astronom.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 1 Ноября 1896 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.